№ 50 Warszawa, dnia 4 (16) Grudnia 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym roku 1883 **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . . rs. 1 k. 25.
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

Mowa ks. D-ra Józefa Pelczara

PRZY IMMATRYKULACYI STUDENTÓW W KRAKOWIE.

Rektor uniwersytetu, ks. dr. Józef Pelczar, miał przy immatrykulacyi studentów w Krakowie 1 grudnia r. b. mowę, z której podajemy co następuje: „Imieniem naszej *Almae Matris* witam was, moi Panowie, jako najmłodszych jej synów, zebranych na to, by w ręce moje i zacnych moich kolegów złożyć uroczyste przyrzeczenie, że będziecie dobrymi synami. O iluż to już takich synów wychowała ta czcigodna matka! Kiedy rzucę myślą wstecz, widzę długi ich szereg, ciągnący się nieprzerwanem pasmem przez pięć przeszło wieków; wszyscy garną się skwapliwie do piersi tej matki, a ona wszystkich przyjmuje i karmi mlekiem mądrości. Wszyscy bogacą tu umysł, hartują zasady, wyrabiają charakter, a dojrzawszy na duchu, rozchodzą się w różne strony, by uprawiać zagon, jaki im wyznaczyła Opatrzność... Akademia przyjmuje was do swego domu, przyrządza stół obfity, rozkłada pokarmy różnolite, iż każdy może wybierać wedle swego smaku; od was zaś żąda jedynie, byście się zbliżyli do stołu i wyciągnęli rękę po pokarm duchowy, jaki podają mistrzowie, — słowem wymaga zamiłowania nauki i ochotnej pracy. Mamże was moi panowie zachęcać do tego? Lecz przecież mówię do młodzieży dorosłej i dobrze tego świadomej, co winna Bogu, społeczeństwu i sobie samej. Bóg dał talenta nie na to, by je zagrzebać, ale by je pomnożyć i dobrze zużytkować. Społeczeństwo potrzebuje i światłych i prawych mężów. Jednym z głównych warunków życia duchowego jest oświata. Szerzyć zatem oświatę przez pielęgnowanie nauk, zdobywać dla nich coraz nowe dziedziny, rozpościerać ich światło coraz dalej, nie dać się wyprzedzić innym narodom w ruchu umysłowym, — oto zadanie wszystkich miłośników społeczeństwa, a więc i nasze... Jednem z głównych ognisk tej pracy ma być czcigodna szkoła Jagiellońska. Pracują też gorliwie — mogę rzec bez pochlebstwa — jej mistrzowie; lecz i na tobie, młodzieży, cięży ten obowiązek. Uniwersytet to jakby ul duchowy, a mistrzowie to jakby matki pszczół, wiodące swe roje na kwiatami porosłe pola. Śpieszcie więc za nami, młode pszczółki, zbierajcie sok z kwiatów, które dla was hodujemy, przerabiajcie go na miód gruntownej wiedzy i nalewajcie nim swe komórki aż do wierzchu, by z tej pracy naszej i waszej była chwała Bogu, pożytek społeczeństwu, a szczęście wam... Moi panowie! wszyscy gotujcie się tu do przyszłych zawodów, a po kilku zaledwie latach pracy naukowej, rozpoczniecie życie czynne, życie pełne obowiązków, walk, nieraz utrapień; niechże tedy starannem będzie to przygotowanie, byście sprostali swojemu zadaniu. Wy, panowie teologowie macie być kapłanami Najwyższego, apostołami prawdy i miłości, wy macie ciemnemu nieść światło, głodnemu chleb, zbolałemu pociechę, umierającemu nadzieję, wszystkim łaskę bożą; starajcież się więc poznać tu prawdę, którą będziecie głosili i nabyć miłości, którą macie krzewić. Wy, panowie z wydziału prawnego, macie być kiedyś stróżami porządku publicznego, karcicielami występków, obrońcami lub mścicielami pokrzywdzonej sprawiedliwości; lecz jakoż się to stanie, gdy nie będziecie znali tych podstaw, na których spoczywa ład państwowy i społeczny, ani tych prawideł, według których należy oceniać czyny ludzkie? Was panowie z wydziału lekarskiego, czeka ciężki

zawód, obok kapłańskiego może najcięższy, bo waszem przeznaczeniem leczyć choroby ciała, aczby najwstrętniejsze, wchodzić ochotnie do lepianki biedaka i do zapowietrzonego szpitala, być gotowym do posług i ofiar ze zdrowia, z pociech rodzinnych, nawet z życia. O! jakiejże trzeba wam będzie nauki, jakiej baczności, jakiego hartu, zwłaszcza gdy życie człowiecze, a nieraz los całej rodziny spoczywać będzie tylko w ręku bożych i waszych! I wam, panowie z wydziału filozoficznego, wyznaczona twarda rola do uprawy; wy bowiem macie kształcić i wychowywać młodzież, do nauki niezawsze skorą, a karności niezbyt żądną. Lecz by innych wieść do krynic wiedzy, musicie pierwej sami dobrze je poznać i pilnie z nich czerpać; musicie badać dzieje przeszłości, zapuszczać się w głębiny ducha ludzkiego, przysłuchiwać się mowie starych Greków i Rzymian, rozczytywać się w księdze przyrody, śledzić tajemnice liczb i harmonią ciał niebieskich. Wszystkim potrzebna jest nauka, drogą zaś do niej jedyną jest praca. Niechże tedy dalekiem będzie od was zgubne próżnowanie, dalekiem gonienie za czczemi rojeniami i niepohamowany szał zabaw, dalekiem życie bez celu i bez myśli o jutrze, dalekiem nawet zajmowanie się sprawami dobremi, ale do młodzieży nie należącemi; natomiast niech hasłem każdego będzie skrzętna, sumienna, wytrwała praca około nabycia nauki. Ale nauka sama nie wystarczy; potrzeba nadto mądrości życia, która uczy poskramiać poziome żądze i poddawać je rozumowi a rozum prawu bożemu, — co każe odpychać pokusy, aczby ponętne, a spełniać obowiązki, aczby nader przykre, — co poleca kochać prawdę i dobro, by dojść do prawdy najwyższej i dobra istotnego; słowem tej mądrości, o której powiedziano: „Najwyższy rozum cnota." Do nabycia tej mądrości zachęcam was również moi panowie, byście z jednej strony przyswoili sobie jasny i niespaczony pogląd na dzieje ludzkości, na prądy spółczesne, na potrzeby społeczeństwa i na zadania własne, z drugiej nabrali już tu panowania nad sobą, poczucia obowiązków, duchowego hartu i zasad zdrowych a silnych. Pozwólcie jednak, że jako jeden z waszych mistrzów i jako przyjaciel młodzieży, ostrzegę was przed trojakiem niebezpieczeństwem, jakie w tej właśnie pracy od trzech dzisiejszych prądów zagrażać wam może. Pierwszym jest indyfferentyzm, czyli obojętność dla religii, pochodząca bądź z ograniczenia lub lenistwa ducha, bądź z uprzedzeń i fałszywych pojęć o prawdzie. Nie tu miejsce rozprawiać o religii; powiem tylko, że najwięksi myśliciele, geniusze i dobroczyńcy ludzkości byli ludźmi głębokiej wiary, gdy tymczasem niedowiarstwo, według słów Goethe'go, było i jest znamieniem ludzi niedołężnych, nizko myślących, wstecznych, na sobie ograniczonych. Niechże tedy niedowiarstwo ani wiodąca do niego obojętność religijna nie wśliźnie się do ducha waszego; przeciwnie, szukajcie prawdy, ukochajcie prawdę, żyjcie według prawdy, a prawda was oswobodzi. Prawda da światło rozumowi, siłę woli, nadzieję i pociechę sercu. Ponieważ zaś życie religijne młodzieży uniwersyteckiej nie podlega nadzorowi, niech czuwa nad niem wasze sumienie. Niebezpiecznym jest również materyalizm w teoryi i w życiu. Pierwszy, ośmielony rzekomem poparciem nauk przyrodzonych, głosi butnie, że po za materyą i światem zmysłów nie istnieje nic rzeczywistego, że świat nadzmysłowy to produkt złudzenia, że Bóg, dusza, wolność woli, życie zagrobowe to bajeczki, któremi w dawnych wiekach kołysano do snu ludzkość, gdy jeszcze była w kolebce, a które ona dziś, przyszedłszy do wieku męzkiego, porzucić powinna. Nie będę się wdawał w harce z materyalizmem, dość, gdy nadmienię, że z wielu jego dogmatów śmieje się zdrowy rozum, innym zaś kłam zadało badanie naukowe, że wiele jego hypotez, śmiało bronionych, porwał z sobą wicher czasu, jak liście opadające z drzewa, że wreszcie najznakomitsi przyrodnicy i astronomowie wyczytali w księdze natury imię Boga, zapisane tam jasnemi głoskami, a jeden z nich ów wielki Newton, na samo słowo „Bóg" odkrywał głowę ze czcią. Baczność zatem, moi panowie, przed teoryami materyalistów i pozytywistów; baczność niemniej przed materyalizmem w życiu, który trzymając w ręku czarę rozkoszy, urąga się cynicznie ze wszelkiego polotu wyższego, ze wszelkiej dążności szlachetnej, a jako cel życia stanowi zaspokojenie żądz nizkich, używanie zmysłów i egoizm zaskorupiający się w sobie. Lecz jestże to życie godne człowieka? Nie, to marazm ducha i gangrena serca, to życie raczej zwierzęce. Brzydź się niem, młodzieży polska! a zamiast czołgać się po ziemi nakształt kretów i karmić się ziemią, ty nad poziomy wylatuj i jako orzeł na szczytach gór buduj swe gniazda. Miłość prawdy, miłość cnoty, miłość nauki, miłość poezyi, spełnienie obowiązków względem Boga, rodziny i społeczeństwa, oto twe ideały; ukochaj je całym żarem, dąż do do nich całą siłą i miej serce gorące dla wszystkiego, co iście piękne, wielkie, szlachetne. Niebezpiecznym wreszcie może się stać socyalizm, który dziś jako dżuma obiega świat we wszystkich warstwach, a więc i pośród młodzieży szukając swych ofiar. Chce on rzekomo wyleczyć społeczeństwo z ciężkiej choroby pauperyzmu, wydźwignąć niższe warstwy z gniotącej je niedoli, zatrzeć jaskrawą różnicę między kapitałem a pracą; lecz zamiast iść drogą legalną, uzbraja do wściekłej walki jednych przeciw drugim i zapowiada powszechną rewolucyą, by zburzyć do szczętu ład społeczny, a na nagromadzonych gruzach, oblanych potokami krwi, zbudować królestwo najdzikszej anarchii, albo najokropniejszej tyranii. Istny to Moloch, który każe sobie spalić na ofiarę wszystko, co dotąd ludzkość ceniła, wolność osobistą, własność, małżeństwo, prawo, władzę, cywilizacyą, religię; bo wszakże przez usta swoich arcykapłanów ogłasza, że własność jest kradzieżą, że władza i prawo jest zbrodnią przeciw ludzkości, że Bóg jest złem. Młodzieży polska! odwróć się ze wstrętem od tego Molocha, gdyby cię przypadkiem do czci jego wzywali zwolennicy przewrotu i przez wzgląd na prawo boże i dobro społeczeństwa, przez wzgląd na szczęście własne, trzymaj się odwiecznych zasad porządku. Jeżeli zaś chcemy przyczynić się wedle sił do rozwiązania kwestyi socyalnej, czyńmy, co czyni stary a wierny przyjaciel ludzkości, kościół katolicki nie żelazem lub dynamitem ratuje on społeczeństwo, ale ofiarą; on to bowiem sierocie zastępuje ojca i matkę, starcowi otwiera dom przytułku, do chorego szle siostrę miłosierdzia, bogatemu każe strzedz się zbytku i dzielić się dobrowolnie z ubogim, ubogiego chroni od chciwości lub rozpaczy, wszystkim zaleca miłość, braterstwo, poświęcenie. Przyjdzie i dla was, moi panowie, czas czynów i ofiar, tymczasem zbierajcie zawczasu wielki zapas miłości, by jak najwięcej dobrego uczynić w życiu. Tę miłość objawiajcie już teraz, przedewszystkiem ku swoim kolegom, by jeden drugiego wspierał, jeden drugiego zachęcał, jeden drugiego cieszył. Niech wśród was nie będzie ni dumy, ni samolubstwa, ni waśni, ni stronnictw, ale niech raczej wszystkich opasze złota wstęga serdecznego koleżeństwa, któreby przetrwało lata szkolne i było nazawsze miłem wspomnieniem. Macie tu dwa ogniska życia koleżeńskiego, towarzystwo wzajemnej pomocy i czytelnię akademicką: skupiajcież się koło nich gwoli kształceniu umysłu i godziwej rozrywce, bacząc pilnie, by się tam nie zakradały niedobre prądy. Okruszynę waszej miłości poświęćcie i nam, mistrzom, i mogę to rzecz śmiało, przyjaciołom waszym. Bo wszakże nasze prace, nasze troski, nasze serca zwracają się głównie ku wam; was też chcielibyśmy nietylko widzieć bogatymi w naukę i cnotę, ale nadto mieć spadkobiercami naszych myśli, naszych badań, naszych zdobyczy naukowych. Oby więc między nami i wami istniało blizkie pokrewieństwo ducha i oby stosunek nasz, zawsze serdeczny, nie kończył się na progach uniwersytetu!"

UPADŁY.

(Fragmenta poematu.)

(Dokończenie).

A ja?... ja stargam więzy, co mnie gniotą, —
Nic nie zapragnę więcej... nic nie stworzę...
O nic nie będę walczył... to już dosyć!
I sam nad jakieś kryształowe morze
Przeniesion — będę wygrzebywał złoto,
Albo jak dziecko — zacznę muszle znosić...

I będę w słońcu zbierał drobne rybki,
I za odpływem szedł na dno wilgotne
Podwodnych roślin rozplatać zwój gibki, —
Aż fala głucho szeleszcząc powróci, —
I wszystkie rybki pozbiera samotne, —
I nowe muszle mi na dno wyrzuci...

I będę w słońcu, nad brzegiem... na piasku
Tulił do piersi południa huryski,
A kiedy zdrzemnę się, — to jak w obrazku
Ujrzę ojczystą północ... domek nizki...
Inny brzeg, kędy chodziłem za młodu,
Inną huryskę... innego narodu...

A kiedy burza fale rozkołysa,
Gdy wszystkie gwiazdy stulą swoje oczy, —
Ta — inna moja... dawniejsza huryssa, —
Tak roznamiętni koralowem łożem
I tak myśl szałem zbudzonym omroczy, —
Że... nie!... nie znajdę spokoju nad morzem.

Lepiej ja będę... włoskim lazzaroni,
Co całe życie na kwiatach przemarzy, —
I u stóp Wenus zasypia... kamiennej,
I w katakumby przed skwarem się chroni, —
I tak odbija wszystko na swej twarzy,
Że jest modelem prawdy... dla malarzy.

Wiecznie z uśmiechem... marzący i senny —
Tylko marmury kocha i uściska,
A kiedy jaka śniada odaliska
Wzrok weń utopi i wieniec mu rzuci, —
On wieniec weźmie, bo kocha się w kwiatach,
Ale łagodnie się od niej odwróci.

Nie!... żyć tak cicho i tak beznamiętnie,
Jak żaden z ptaszków w nadpowietrznych świa-
[tach —
Nie mnie! nie mógłbym odwracać się smętnie,
Gdy ziemska pierś wzrokiem do się wabi,
Gdy twarz jej biała szałem roztętniona,
Gdy do uścisku chwieją się ramiona.

Lepiej... ja zejdę na jej puch jedwabi, —
Oddam jej siebie i będę pił z czary
Zachwytów, aż się wszystka krew wypali —
I wszystkie życia wyczerpią się siły, —
Aż zgasnę niby promyk, u nóg miłej, —
Aż... na przedwczesne położę się mary.

Ale... nie podleż słodycz ust korali
Wypijać zwolna i dech jej wysysać, —
I nie dać wzamian nic! — z zachodem słońca
Ją u swych piersi do marzeń kołysać,
Ze wschodem budzić... i tak... tak bez końca,
Jak wiecznie promień igra z wstęgą fali.

Lecz promień wieczny, ale fala wieczna,
A my śmiertelni... nie!... jest życie inne,
Takie niepewne, jak ta droga mleczna,
Lecz beznamiętne, choć jasne, a czynne,
To życie, w którem każda pierś rozdarta
Za kraj swój — więcej od stu hymnów warta...

Pójdę daleko — pod niebo cieplejsze, —
Spoję się z dumnym plemieniem Farysów
I z nimi będę walczył ja!... wódz biały —
Namiot rozbiję pod cieniem cyprysów
I będę nucił dumy najsmutniejsze
Przeszłej swobody i minionej chwały.

I na wielbłądzie przepływając morze
Piaszczyste — będę walczył z orkanami
I będę pragnął... aż oaza błyśnie,
Aż pod zielonowłosej palmy cieniem,
Uścielę sobie miękkie z kwiatów łoże
I usta zwilżę zdrojowemi łzami.

A gdy gwiaździsta noc nade mną zwiśnie
I wiatr ochłodnie i listki ze drżeniem
Będą szemrały i zdrój zaszeleszcze, —
Ja się rozmarzę... o przeszłości jeszcze, —
Ale bez żalu, choć z smutną rzewnością,
Bo już nie będę żył... tylko przeszłością! —

Nie żal mi będzie chybionego życia,
Lecz tych, co wielkim tak widzieć mnie chcieli,
Co mieli gwiazdy mej odblaskiem świecić,
Biedni!... te straszne nadziei rozbicia
Oni ode mnie nie mniej przecierpieli,
Oni by we mnie pragnęli rozniecić
Zagasłe żądze laurowej korony.

Ale to próżno!... meteor strącony,
Już nie przeleci nieba błękitnego
I łabędź pieśni swojej nie powtórzy, —
I zwiędną listki rozsypanej róży,
A nie powrócą do kielicha swego!

. . . .

Świat taki piękny... dnie coraz cieplejsze —
Wieczorem taka świeżość naokoło —
Że wzrok weselszy, piersi coraz lżejsze
I coraz bardziej wyjaśnia się czoło,
I tak świat chce się pokochać na nowo,
I tak odwołać swą klątwę grobową! —

Czuję już czuję zapach macierzanki,
Widzę — kwietniki kiełkują zielono,
Jeszcze dni kilka, a wiosny poranki
Rosy się czystą osrebrzą koroną,
A zanim minie jeszcze ranków kilka,
Wiosna pierwszego wywoła motylka.

Jasne, promienne jak ognista kula —
Słońce spływając pieści moje skrzydła,
I do mych braci, do swobody wzywa
Idź!... już wypękły różane korony,
Już pączki mają deseń malowidła,
I każdy ranek je więcej roztula, —
Jasne, promienne słońce ku mnie spływa
I mówi zda się: idź! — tyś odrodzony.

. . . .

Józef Korwin.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Nie zapomnę nigdy wyrazu głębokiego, spokojnego rozradowania, jakiem rozjaśnioną była szlachetna poważna twarz mego młodego przyjaciela w chwili, gdy wprowadzony przez Ksenię, spostrzegł salon zarzucony tysiącem fraszek i drobiazgów damskich, które służba pakowała w wielkie podróżne walizy.

— Więc naprawdę wyjeżdżacie gdzieś państwo?—zapytał z uśmiechem, witając pannę Anastazyą i mnie z kolei.

— Tak — odparłem — i to jednym zamachem z Drezna na Ukrainę. Jeśli mości inżenierze przyjdzie ci fantazya namówić nas na kilka jeszcze takich podróży, to możesz kiedyś mieć na sumieniu moje stare kości.

Mirski roześmiał się tak wesoło, jak nie widziałem go śmiejącego się nigdy, jak nie przypuszczałem nawet aby śmiać się tak umiał.

— Przecież to panna Ksenia wymyśliła tę drogę i ja usuwam się od wszelkiej za nią odpowiedzialności — odrzekł wesoło.

Zasiedliśmy wszyscy razem i poczęliśmy mówić o naszych podróżach. Nazajutrz pierwszym pociągiem mieliśmy wyjechać do Wrocławia: Mirski z panną Anastazyą, służbą i Buranem, powracali do domu, podczas gdy my oboje z Ksenią na Kraków, Lwów i Wołoczyska, udawaliśmy się na Ukrainę.

Kiedy po chwili, obie panie wyszły kończyć swe pakowanie, a my ze Stefanem pozostaliśmy sami, zapytałem go, dlaczego wyprawia Ksenię na Ukrainę, zamiast skończyć wszystko odrazu?

— Byłoby to za prędko, odparł mi poważnie. Nie można wymagać od tego biednego serca nadzwyczajnych wysiłków. Niedawno jeszcze nosiło ono w sobie miłość inną, następnie doznało zawodu strasznego, cierpiało, walczyło z sobą i musi być istotnie zmęczone śmiertelnie. Dzisiaj zdaje mi się, że dostrzegam w niem ślad czegoś, co kiedyś może mi dać szczęście najwyższe, ale nie myślę przyspieszać rozwoju tego kwiatu, którego wątłe, delikatne listeczki, zaledwie się nieśmiało poczynają rozwijać. Owszem, pragnę aby ten rozwój odbywał się swobodnie i normalnie! Niech panna Ksenia pojedzie na swój ukochany hutor, na którym niezawodnie odzyska najprędzej spokój i dawną swobodę młodzieńczą. Ty mój stary przyjacielu pojedziesz tam z nią i będziesz mi troskliwie pielęgnował tę drogocenną roślinkę, a kiedy już zakwitnie w całej pełni, skoro uczucie jej dla mnie rozrośnie się i ugruntuje, zjawię się tam.

Musiałem uznać słuszność uwag młodego człowieka i zgodziwszy się na jego zdanie, powtórzyłem mu rozmowę moją wczorajszą z Ksenią. Słuchał mnie uśmiechając się, spokojny i poważny.

— Więc tak szczerze nienawidziła mnie jeszcze wczoraj z rana? — rzekł, rozjaśnionemi oczyma patrząc przez drzwi otwarte do dalszych pokoi, gdzie widać było smukłą postać Kseni, krzątającą się około pakunków podróżnych.

W tydzień potem pędziłem na odkrytej pocztowej bryce, szlakiem wiodącym z Połtawy do Perejasławia, nie pozwalając ani na chwilę wyprzedzić się czarniawemu obłoczkowi pyłu, który podniesiony kopytami koni, wiatr bujny pędził w tę samą co i nas stronę. Jak okiem zasięgnąć zdołałem, z prawej i lewej strony rozciągał się kraj żyzny, szeroki, falisty lekko, w pobliżu zielony, u krańca siwawy, przesłonięty mglistą lekką zasłoną i tęsknotą jakąś, lubą i słodką, która obsiadała duszę i owiewała ją smętnym, nieprzezwyciężonym czarem. Na całym tym zielonym, kilkomilowym w promieniu obszarze, byliśmy w tej chwili my tylko, słońce chylące się ku zachodowi i dźwięki dzwonka, które rozchodziły się jękliwie i brzmiały daleko po szerokim, zadumanym stepie.

Obok mnie na bryce siedziała Ksenia, nie mówiła ani słowa ale twarz jej otwarta i jasna, wskazywała wybornie każde uczucie przenikające jej duszę. Zarumieniona od wiatru i słońca, dziewczyna rozglądała się po szerokim kraju, chwytając wonne, świeże podmuchy stepowego powietrza i od czasu do czasu spostrzegałem w jej oczach łzę przejrzystą, która nie spływając obsychała na długich jej rzęsach od pędu, z jakim unosiła nas bystra kasztanowata trójka.

Nie dojeżdżając Perejasławia, woźnica rzucił szlak pocztowy, skręcił w prawo i zagadawszy do zmachanej trójki puścił się dalej czystym stepem ku południowi. Niedługo przed oczami naszemi, na zielonem tle traw i burzanów, zarysowała się z daleka, szara, długa linia domów i pozłociste trzy kopuły cerkiewne.

— Patrz, staruszku! — zawołała Ksenia głosem stłumionym wzruszeniem i łzami — to już Mokowiszcze sioło! a tam ot na prawo Leszyj hutor — dodała wskazując mi po nad ciemnym jarem kilka dachów szarych, ukrytych pomiędzy bielą kwitnących drzew sadów.

— Stój! — zawołała znowu po chwili na woźnicę, kiedy zbliżyliśmy się nieco do sioła, od którego odgłosy życia dolatywały już naszych uszu.

Zapieniona trójka osadziła się robiąc bokami i parskając. Ukrainka jednym skokiem znalazła się na ziemi.

— Wysiadaj staruszku! — zawołała na mnie rozpromieniona.—Nie mogę już dłużej dosiedzieć tak spokojnie! Pójdziemy pieszo, prosto przez ten szmatek stepu i staniemy prędzej w mej chacie jak konie, które jeszcze muszą po za cerkwią

dopiero wyminąć jar, którego bliżej przejechać nie ma sposobu!

Odesławszy konie puściliśmy się wprost po przez morze kwiecia i majowej zieleni, kierując się na hutor, z którego komina widzieliśmy już płową kiść dymu, unoszącą się w jasne, bezchmurne niebo.

Ksenia z kapeluszem w ręku, zdjąwszy rękawiczki, rozpromieniona, nadstawiając czoło chłodnym powiewom wiatru, rozrzucającem jej jasne włosy, szła szybko, przystając od czasu do czasu i rozglądając się z rozkoszą prawdziwego dziecka stepów dokoła siebie.

— Ah! — rzekła do mnie chwytając całą piersią upajającą woń stepowego kwiecia. — Całe powietrze w Arabistanie, ledwie mi na oddech stanie!

Po kwadransie drogi, spuściliśmy się w jar ciemny, urwisty, zarosły gęstą leszczyną, dębem i głogiem, przedzierając się z trudem, natrafiliśmy wkrótce na maleńką ocembrowaną krynicę, z której woda przelewając się wierzchem cembrowiny, szumiąc i pluskocząc, po drobnych kamieniach maleńką kaskadą biegła w głąb' jaru, tworząc na dnie jego czysty, wesoło mruczący strumień. Od krynicy w górę, na drugą stronę jaru, wiła się wązka, biała ścieżka, kręto pomiędzy cierniami i głogami, na którą wbiegłszy Ksenia, zatrzymała się nagle.

— Patrz, staruszku — rzekła rozrzewniona, wskazując mi studzienkę — to nasza już krynica! Tę oto ścieżkę wydeptały moje bose nogi, gdy chodziłam tu po wodę dla Warwary!

Moje stare nogi zaledwie zdążyć mogły za moją śliczną faworytką, która gnana radością i tęsknotą, lekka jak gazella, pędem prawie, przeskakując z urwiska na urwisko, wspinała się na stromą, najeżoną kamieniami i cierniem ścianę jaru.

— Odwagi, tatku! — zawołała stając pierwsza na zrębie urwiska i wyciągając do mnie rękę, aby mi dopomódz.

— Otóż już jesteśmy! a za chwilę Warwara poczęstuje cię czarą mleka, po ciężkich trudach tej podróży!

W istocie, zaledwo oblany znojem i bez tchu prawie stanąłem na szczycie skalistej ściany, gdy przed oczyma miałem już hutor Kseni, który jak oaza wśród cichego, bezgranicznego stepu, przytulił się jednym bokiem pod cień opiekuńczy kędzierzawych dębów jaru.

— Cicho! — zawołała Ukrainka popychając zlekka wrota drewniane obejścia, a potem figlarnie kłaniając mi się obyczajem tutejszym, dodała wzruszonym głosem:

— Witam cię w mojem dziedzictwie, mój staruszku!

Dziedzictwo Kseni, było to zwykłe ukraińskie obejście, nieco tylko większe i porządniej zabudowane od innych hutorów, których w tej okolicy setkami znaleźć można rozrzuconych samotnie po stepie. Chata o czterech oknach z przyzbą dokoła, dachem i kominem białą glinką ubielonym, naprzeciwko stodoła chróściana i kilką przeszłorocznych brogów z pszenicą i sianem, po bokach stajnie i obory, kilka szop z wozami i pługami, na środku wodopój z żórawiem wysokim i kołyszącem się u niego wiadrem, pozieleniałem od ciągłej wilgoci i stado gołębi wygrzewających się na dachu w promieniach słońca, oto wszystko, co ujęte w ramy wysokiego parkanu, na tle bielejącego kwieciem sadu, składało się na cudny, prosty, sielski obrazek, w który moja dziewczynka, stojąc cicho w otwartych wrotach, wpatrzyła się z zachwytem z uśmiechem na ustach, mgłą rozrzewnienia zaszłemi oczyma.

Na przyzbie przed chatą, w szerokich płóciennych szarawarach kozackich, koszuli białej podpasanej zielonym włóczkowym pasem, siedział dziad sążnisty, żylasty i suchy z odkrytą białą głową i mlecznym wąsem spadającym mu na piersi. Nucąc dumkę smętną półgłosem, obrabiał przy warsztacie stolarskim kawał gruby drzewa, na dzwono do koła. U nóg jego zwinięty w kłębek na słońcu, leżał wielki pies czarny, równie stary, chudy i posiwiały, który poczuwszy obcych podniósł głowę i zawietrzywszy, szczeknął kilka razy.

Warknięcie psa, zwróciło dopiero uwagę starego na naszą obecność. Urwał dumkę, podniósł głowę i odsłoniwszy ręką oczy od zachodniego blasku, przyglądać nam się jął, powstając zwolna i postępując na nasze spotkanie. Kiedy doszedł połowy podwórza, stanął nagle i roztworzył ramiona jak do uścisku, szeroko.

— Hordiju! — krzyknęła Ksenia, biegnąc do niego pędem. — Batku! — dodała rzucając się w roztwarte ramiona starego.

Ukrainiec objął dziewczynę wpół, uniósł ją w górę, jak małą dziecinę, przytulił do swej szerokiej piersi i długą chwilę całował jasne jej włosy, czoło i oczy z kolei.

— Doniu... doniu moja! — powtarzał z rozrzewnieniem, patrząc na śliczną dziewczynę, która śmiejąc się, z mokremi oczami, poddawała się pieszczotom starca, głaszcząc białemi rączkami, ogorzałe jego lica.

Potem nagle puścił ją z objęcia i pochylając głowę, objął jej nogi z pokorą i szacunkiem.

— Pani nasza serdeczna... jedyna! — dodał głosem drżącym od wzruszenia, i łez tłumionych w piersi.

Nie będę opisywał już, ile łez, okrzyków i radości wylało się znowu po chwili, gdy wywabiona gwarem rozmowy i wołaniem Hordija, wybiegła z chaty stara Warwara i z okrzykiem radości rzuciła się do nóg swojej „dytyny". Dość, że stojąc z boku, jako niemy świadek całej tej sceny, podnosiłem kilka razy rękę do oczu, aby usunąć z nich serdeczną rosę, która od czasu, do czasu zasłaniała mi wzrok mglistą zasłoną. Kiedy pierwsze wybuchy radości minęły i umysły uspokoiły się nieco, Ksenia obróciła się do mnie, i ujmując za rękę, pociągnęła wzruszona ku Hordijowi.

— A teraz, przywitajcie się, ty mój batku, który z maleńkiej hodowałeś mnie jak rodzoną i ty tatku, który w ostatnich czasach, stałeś się wiel kiej „dytynie" ojcem drugim! — rzekła łącząc dłoń moją z twardą, narobioną dłonią kozaka.

Bez namysłu i z serca, uścisnąłem ręce poczciwych tych ludzi i wyznam szczerze, że dotknięcie prostych tych, szorstkich dłoni czyniło mi większą stokroć przyjemność, niż spotkanie się z niejedną delikatną rączką, obciśniętą w glansowną paryzką rękawiczkę.

W godzinę potem, wszyscy razem, jak rodzina jedna, siedzieliśmy na przyzbie przed chatą, przy stole nakrytym grubym, białym, czerwono wyszywanym obrusem, na którym stara Warwara zastawiła nam proste, lecz zdrowe i obfite dary tej ziemi rodzajnej, użyznione kiedyś potokami krwi i kośćmi bohaterów. Słońce zapadało zwolna w step siny, wiatr całodzienny uciszył się zupełnie a w sadzie i jarze słowiki rozpoczynały koncert swój nocny.

Ksenia, która od chwili przybycia, obiegła już cały hutor i przywitała wszystkie kąty, siedziała pomiędzy mną a Hordijem, zapatrzona z zadumą w zachód słońca.

— A gdzież to Maksym? — zapytała nagle, budząc się z zamyślenia. — Nie przyszedł przywitać mnie wcale i ani w stodołach, ani w stajniach, nie spotkałam go nigdzie.

— Maksym u koni, w stepie doniu! — odparł Hordij głaszcząc szorstką dłonią, różaną twarz dziewczęcia. — Czy ty już zapomniała, że pod tę porę, stado nasze znajduje się na stepie i że twój brat mleczny z chłopcami czuwa tam nad niem dniem i nocą?

— Chodźmy do niego Hordiju! — zawołała zrywając się Ukrainka — chodź i ty staruszku, jeśliś niezbyt zmęczony podróżą! Tyś przecie idealista, poeta z rodu, a wieczór w stepie, to poemat piękniejszy i większy, niż „W Szwajcaryi" lub „Irydion". Chodź tatku! — dodała podając mi laskę i kapelusz leżące na przyzbie.

Powstaliśmy i we czworo z Hordijem i czarnym Żukiem, kręcącym się nam przy nogach wesoło, wyszliśmy po za wrota, po za któremi zaraz pozostawiając z lewej strony sioło i ciągnące się pola orne, skręciliśmy w prawo, gdzie jak okiem zasięgnąć ku zachodowi, rozrzucił się przed nami step bez końca.

Słońce już było zaszło i tylko na zachodzie, tam gdzie step schodził się z niebem, świecił jeszcze blask czerwony, mocno pozłocisty, od którego bujna roślinność stepowa, poczynająca się pokrywać już rosą, przybrała delikatny ton różowy. Zdaleka od sioła, wśród ciszy wieczornej, dolatywało nas wesołe psów naszczekiwanie i jakaś tęskna melodya stepowa, wygrywana na sopiłce. Gdzieś daleko w wyżynach niedojrzanych okiem odzywały się dzikie gęsi, przeciągające na ostrowy, a po nad naszemi głowami, spłoszone przez czarnego Żuka czajki odzywały się żałośnie.

Szliśmy wszyscy obok siebie w milczeniu. Pod taką chwilę w stepie, człowiek niechętnie rozmawia i najlepiej mu, gdy zapatrzony, zasłuchany, może puścić dumkę rozkołysaną samopas, po szerokiej równej przestrzeni.

Zdaleka przed nami, kilka ognisk rozpalonych na mogiłach wysoko, błyszczało wśród stepu szarzejącego zwolna.

— To nasi chłopcy, palą tam sobie u stada! — rzekł stary Ukrainiec, wskazując te błyszczące punkta, od których czasami dolatywało to rżenie konia, to wesoły okrzyk przeciągły, to kilka taktów urwanych dzikiej, hulaszczej pieśni.

Niezadługo doszliśmy stada, które rozpierzchłe pasło się w stepie, pod strażą ognisk na których tle jaskrawo czerwonem, wśród dymu i iskier, jak fantastyczne cienie, poruszały się zdala ciemne sylwetki pasących konie chłopaków.

Hordij zatrzymał się pomiędzy stadem.

— Oto twój dobytek doniu — rzekł wskazując rozbiegłą wśród bujnej trawy stadninę. — Kiedy wyjeżdżałaś tam do Polszy, było ich siedmdziesiąt, teraz po dwóch latach, dochowaliśmy ci do stu dwudziestu koni, nie licząc tegorocznych łosząt i roboczych koni stojących w stajni na hutorze.

Obrócił się w stronę ognisk i huknął głośno:

— Hej Maksymie!

(D. n)

KSIĄDZ KONSTANTY.

NOWELLA

przez

Ludowika Halévy.

Tłomaczył z francuzkiego

H. K.

(Dalszy ciąg.)

— To i lepiej, Bettino,—odrzekła pani Scott—bo rozpowiadasz tym panom rzeczy, które wcale ich nie obchodzą.

— O! przepraszam panią — rzekł proboszcz — przeciwnie, obchodzą bardzo. Sprzedaż tego zamku, teraz w całej okolicy o niczem więcej nie mówią i opowiadanie pani bardzo mnie zajęło.

— A widzisz, że moja gadanina zajmuje księdza proboszcza. A więc ciągnę dalej. Wyjeżdżamy tedy konno, wracamy o siódmej... nic... Siadamy do obiadu, lecz w chwili gdyśmy wstawały od stołu, przynoszą telegram z Ameryki, dwa wiersze tylko: „Dziś kazałem kupić dla ciebie i na twoje imię, zamek i majątek de Longueval, blizko Souvigny, przy kolei północnej.” Wtedy porwał nas obie śmiech szalony, na myśl...

— Nie, nie, moja Bettino, nie tak było, kiedy już opowiadasz, to opowiadajże dokładnie, a nie obmawiaj nas obie. Najprzód opanowało nas serdeczne wzruszenie i uczucie wielkiej wdzięczności. My obie bardzo wieś lubimy. Mój mąż, który jest bardzo dobry i uprzedzający, wiedział że naszem gorącem życzeniem było mieć jakąś ziemską posiadłość we Francyi. Od sześciu miesięcy szukał już coś stosownego do nabycia i nic się nie zdarzyło. Nareszcie, nic nam nie mówiąc, dowiedział się o tym zamku, który właśnie sprzedawał się w dzień moich urodzin i kazał go kupić... Czyż to nie była wielka delikatność z jego strony?

— Tak, Suzie, masz zupełną słuszność; ale przyznaj, że po tej chwili wzruszenia, nastąpiła chwila wielkiej wesołości.

— Prawda i to... Bo kiedyśmy się zastanowiły, że obie tak nagle, niespodziewanie, stałyśmy się właścicielkami—bo co ma jedna to i do drugiej należy, zamku i jakiejś posiadłości, nie wiedząc gdzie to wszystko się znajduje, ile kosztuje i jak wygląda, wydało się to nam jakby jaką czarodziejską bajką.

— I poczęłyśmy śmiać się tak serdecznie — przerwała Bettina—że dopiero po kilku minutach zdołałyśmy się uspokoić. Wtedy rzuciłyśmy się na mappę Francyi, na której, nie bez trudności, wyszukałyśmy Souvigny, następnie przepatrywałyśmy rozkłady jazdy kolejami i dziś rano, pospiesznym pociągiem przybyłyśmy do Souvigny.

— Przepędziłyśmy dzień cały — podchwyciła pani Scott — na zwiedzaniu zamku, parku, zabudowań, fermy. Nie mogłyśmy zwiedzić wszystkiego, bo to bardzo obszerne, ale niezmiernie jesteśmy zadowolnione z tego cośmy widziały. Jedna rzecz tylko, księże proboszczu, mocno mnie intryguje. Wiem, że ta posiadłość wczoraj była sprzedaną drogą publicznej licytacyi, widziałam porozlepiane jeszcze ogłoszenia... Ale osób które nam towarzyszyły w naszych oględzinach, oficyalistów i dzierżawców, nie śmiałam zapytać, tak to moja niewiadomość wydałaby się im śmieszną, ile to wszystko nas kosztuje. Mąż mój, w swojej depeszy, zapomniał o tem... Ponieważ jestem zachwycona tem nabyciem, więc jest to już tylko szczegół małej wagi, jednakże radabym była wiedzieć. Jeżeli księdzu proboszczowi jest to wiadomem, to proszę mi powiedzieć cenę.

— Cena ogromna — odpowiedział proboszcz—bo wiele nadziei, wiele projektów poruszało się około Longuevalu.

— Cena ogromna! Przestraszasz mnie księżę proboszczu... I jakaż?

— Trzy miliony!

— Tylko tyle! —zawołała pani Scott — zamek, fermy, lasy, wszystko, tylko za trzy miliony?

— Tak jest, trzy miliony.

— Ależ to za bezcen. Ta śliczna rzeczułka co się po parku kręci, sama jedna warta trzy miliony.

— I mówiłeś przed chwilą, księżę proboszczu — zapytała pani Scott — że kilka osób współubiegało się o nabycie zamku i ziemi?

— Tak jest, proszę pani.

— I przy tych osobach, po dokonanej sprzedaży, czy moje nazwisko było wymienione?

— Tak, pani.

— A kiedy powiedziano moje nazwisko, czy był kto co mnie zna, który mówił o mnie?... Musiało tak być... musiało... Wasze milczenie to potwierdza... więc mówiono o mnie? Zatem, księżę proboszczu, teraz ja staję się poważną bardzo poważną i proszę, zaklinam, abyś mi powtórzył wszystko co o mnie rozpowiadano.

— Hm! — mruknął biedny księżyna, który był jak na rozżarzonych węglach — mówiono o wielkich bogactwach pani...

— Tak, musiano mówić o tem, bezwątpienia, musiano mówić, że jestem bardzo bogatą... i to, nie od dawna... parweniuszką... nieprawdaż? Bardzo dobrze, ale to nie wszystko, musiano coś więcej rozpowiadać?

— Ależ kiedy ja... ja mało słuchałem...

— O! księżę proboszczu, uczyniłeś teraz, jak to nazywacie pobożne kłamstwo... i ja was w bardzo przykrem stawiam położeniu, bo musicie być uosobioną szczerością. Ale jeżeli nastaję, jeżeli was tak dręczę, to dlatego, że mam interes wielkiej wagi w dowiedzeniu się tego co o mnie mówiono, tego co...

— Pani ma słuszność — przerwał Jan — opowiadano też inne rzeczy i mój ojciec chrzestny z trudnością by to powtórzył, ale ponieważ pani chce koniecznie, więc ja powiem, że mówiono o pani jako o jednej z najbardziej elegackich, najświetniejszych i naj...

— I najładniejszych kobiet Paryża? — przerwała pani Scott. — Mogli to mówić, przy pewnej pobłażliwości. Ale to nie wszystko jeszcze. Musiało być coś innego...

— A! doprawdy...

— Tak, było coś innego i ja bym chciała i to natychmiast, rozmówić się z panem bardzo wyraźnie, bardzo szczerze. Nie wiem dobrze... ale zdaje mi się, że dziś miałam dużo szczęścia... zdaje mi się, może zawcześnie jeszcze na to słowo, ale sądzę, że obaj panowie już jesteście trochę mojemi przyjaciołmi... a po jakimś czasie zupełnie niemi będziecie. A więc, powiedzcie, jeżeli o mnie obiegają opowiadania niedorzeczne lub fałszywe, nie mamże prawa spodziewać się, że mi dopomożecie do ich zaprzeczenia?

— Tak jest, pani — odpowiedział Jan z wielką żywością — masz pani słuszność tak mniemać.

— A zatem, do pana się zwracam, jesteś żołnierzem... i twoim obowiązkiem odwaga... Przyrzeknij mi być odważnym... Przyrzekasz mi to?

— Co pani rozumie przez to słowo: być odważnym?

— Przyrzeknij... przyrzeknij bez tłomaczeń, nie stawiając żadnych warunków.

— A więc! przyrzekam...

— Zatem będziesz mi odpowiadać szczerze przez tak lub nie, na pytania jakie stawiać będę?

— Odpowiem.

— Czy mówiono żem żebrała na ulicach New-Yorku.

— Tak jest, mówiono.

— I żem była woltyżerką w jarmarcznym cyrku?

— I to mówiono.

— No, chwała Bogu!... Tak odpowiadać to rozumiem. Najprzód zwracam waszą uwagę, panowie, że w tem wszystkiem nie byłoby nic, ale nic zgoła, do czegoby się przyznać nie było można... Ale jeżeli to jest fałszem, czyż nie mam prawa powiedzieć, że to nie jest prawdą? A to nie prawda. Moja historya... w krótkich słowach ją wam opowiem, a jeżeli ją opowiadam tak odrazu, w pierwszym dniu naszego poznania, to dlatego ażebyście raczyli ją powtórzyć tym wszystkim, którzy przed wami o mnie mówić będą... Przyjdzie mi zapewne przepędzić część mego życia w tym kraju, życzeniem jest więc mojem, aby wiedziano zkąd przychodzę i kim jestem. Zaczynam tedy. Ubogą, tak jest, byłam nawet bardzo biedną i ubogą. Jest temu lat ośm. Nasz ojciec zmarł niedługo po śmierci matki. Miałam wtedy lat ośmnaście, Bettina dziesięć. Pozostałyśmy same na świecie z masą długów i wielkim procesem. Ostatnie słowa ojca naszego były: „Suzie, co do procesu, nie przyjmuj żadnych układów, nie ustępuj nigdy, nigdy, nigdy! Miliony, dzieci moje, będziecie miały, miliony!” Uściskał nas obie, mnie i Bettinę... Zapadł w malignę i skonał powtarzając: „Miliony! miliony!” Jakiś adwokat zjawił się nazajutrz, który ofiarował się zapłacić nasze długi i nadto, dać nam dziesięć tysięcy dolarów, za odstąpienie praw naszych w procesie, szło o posiadanie znacznych przestrzeni ziemi w Kolorado... Odmówiłam... Wtedy to, przez kilka miesięcy, byłyśmy w wielkiem ubóstwie.

— I wtedy to — rzekła Bettina — ja nakrywałam do stołu.

— Cały czas przepędzałam u adwokatów New-Yorku — ciągnęła pani Scott—ale nikt nie chciał się podjąć naszej sprawy. Wszędzie jedna była odpowiedź: „Wasza sprawa jest bardzo wątpliwą, macie przeciwników bogatych i wysoko położonych, potrzeba pieniędzy, dużo pieniędzy, aby proces wasz doprowadzić do końca... a wy już nic nie macie... Ofiarują wam, oprócz zapłacenia długów, dziesięć tysięcy dolarów, bierzcie i sprzedajcie wasz proces.” Ale ja, miałam ciągle w uszach i na myśli słowa umierającego ojca i nie zgadzałam się... Nędza jednakże, coraz to straszniejsza, byłaby mnie do tego doprowadziła w końcu, gdy dnia pewnego, spróbowałam udać się do jednego z przyjaciół naszego ojca, pana Wiliama Scott, bankiera w New-Yorku. Nie był on sam w swoim gabinecie, przy jego biurku siedział młody człowiek. „Możesz pani mówić, rzekł bankier, to mój syn Ryszard Scott.” Spojrzałam na tego młodego człowieka, on na mnie i poznaliśmy się wzajemnie... „Suzie! Ryszard!” I podaliśmy sobie ręce. On miał lat dwadzieścia i trzy, a ja ośmnaście, mówiłam już o tem. Bardzo często dawniej, dzieć-

mi będąc, bawiliśmy się z sobą. Wtedy w wielkiej byliśmy przyjaźni. Potem, na siedm czy ośm lat wyjechał do Anglii i Francyi dla dokończenia nauki. Ojciec jego prosi mnie abym usiadła i powiedziała czego żądam... Opowiadam mu po co przychodzę... Wysłuchał mnie i mówi: „pani, potrzebowałabyś od dwudziestu do trzydziestu tysięcy dolarów. Nikt pani nie pożyczy takiej sumy na proces dość zagmatwany. To byłoby szaleństwem. Jeżeli pani jesteś nieszczęśliwą, jeżeli potrzebujesz jakiej pomocy... to...—Ależ nie tego, mój ojcze — przerwał Ryszard z wielką żywością — wcale nie tego miss Percival potrzebuje. Wiem o tem, ale jej żądanie jest niemożebne — odrzekł bankier i powstał aby mnie odprowadzić... Wtedy dopiero, po raz pierwszy, straciłam wszelką nadzieję, siły mnie opuściły, miałam aż dotąd dość mocy nad sobą i nie traciłam nadziei, teraz po raz pierwszy od śmierci ojca, uczułam odwagę moją wyczerpaną. Zapłakałam nad naszym losem. Ale prędko oprzytomniałam i wyszłam. W godzinę potem, Ryszard Scott był u mnie.

(*D. c. n.*)

KORESPONDENCYA
ZE LWOWA.

W listopadzie.

Towarzystwo organistów. — Czasopisma. — *Muzyka kościelna.* — Muzyka we Lwowie. — P. Tyberg i p. Gerbicz. — Chóry. — Teatr i linoskoki. — Nowe czasopisma. — Nowe książki. — Pismo dla żydów i Agudas Achim. — Izraelicka Rada wyznaniowa i język polski. — Towarzystwo oświaty. — Projekta w *Kole literackiem.*

Jedną z warstw ludzi, najbardziej u nas zaniedbanych są organiści. Ani wykształcenia fachowego, ani ogólnego, nędznie płatni, a często z pretensyami, żyli dotąd w zupełnem opuszczeniu. W tym miesiącu dopiero zawiązano we Lwowie *Towarzystwo organistów*, które ma członkom swoim zapewnić lepszą przyszłość pod względem materyalnym a zarazem i o moralną stronę się troszczyć. Ks. Solecki wydaje tu czasopismo peryodyczne *Muzyka kościelna* która wpłynąć ma na wykształcenie fachowe organistów. Sądzimy, że mały dodatek zawierający ogólno ludzkie wiadomości, artykuły moralnej treści i t. p. nie wieleby kosztu przyczynił a byłby bardzo skutecznym środkiem na umoralnienie organistów.

Muzyka kościelna prowadzi nas do muzyki świeckiej, do której zamiłowanie w mieście naszem wzrasta. Posiadamy tu dyletantów nieposlędniej miary i wirtuozi wędrowni znajdują u nas słuchaczy niebezpiecznych. Prawda, że głównie fortepian się rozwinął ze szkodą innych instrumentów, których uprawa przez dyrektora konserwatoryum mocno jest zaniedbana. Świeżo przybył do nas pan Tyberg, młody ale bardzo utalentowany skrzypek, który objął posadę profesora w Lwowskiem konserwatoryum. Mamy nadzieję, że i skrzypce teraz staną na równi z fortepianem. Śpiew solowy i choralny pod kierownictwem p. Gerbicza, D-ra Mikulego i panny Złobickiej coraz się podnosi. Przyczynia się do tego potrzeba współubiegania z *chórem męzkim,* który oderwawszy się od konserwatoryum stanął samoistnie i kierowany przez p. Cetwińskiego, nie tylko zdołał się utrzymać, ale skrzepniał, rozrósł się i podejmuje tak wielkie dzieła jak świeżo odśpiewane z wielkiem powodzeniem *Requiem* Cherubiniego. Chór mieszany konserwatoryum lwowskiego nie może pozostać w tyle i zapewne wystąpi z równie poważnemi utworami.

Zato opera znikła z powierzchni ziemi a operetka, którą p. Miłaszewski głównie wojuje, ($^3/_4$ przedstawień pochłania operetka) jak suchotnica ledwo dyszy. Dramat i komedya tak doskonałe przed niedawnym czasem, równie zmarniały w rękach p. Miłaszewskiego. Taki stan wywołał powszechne niezadowolnienie, które się aż do sejmu w kształcie ogromnej liczby podpisów opatrzonej petycyi dostało. P. Miłaszewski wobec tej powodzi ustępuje a teatr od wielkiejnocy przyjdzie prawdopodobnie pod zawiadowstwo p. Jana Dobrzańskiego, pewną jest prawie rzeczą iż pod jego energiczną ręką scena lwowska wkrótce się podniesie. Tymczasem o przedstawieniach w teatrze nic powiedzieć nie mogę, bo dano na benefis i żądanie artystów jedną tylko godną tej nazwy sztukę t. j. *Zakochanego lwa* Pousarda. Zato, w miejsce sztuk mieliśmy sztuczki... łamane. Dziesięć dni z kolei lubowała się publiczność cudami towarzystwa angielskiego *The Phaites,* prawda, że dalej sztuki wyłamywania się doprowadzić jest istnem niepodobieństwem, prawda, że człowiek, który sobie siada na głowie nie małej dokazuje sztuki, ale żeby to było ponętne? nie powiem.

O ile zaś teatr zamarł, o tyle w piśmiennictwie ruch wielki. Powstał organ literacki *Ziarno* we Lwowie. *Reforma,* pismo polityczne krakowskie połączyła się z *Gazetą Krakowską;* natomiast redakcya pierwszego tego dziennika *in gremio* odstąpiła i założyła *Nową Reformę.* Kilka fachowych pism ma się również ukazać. Daj Boże, aby tylko nowi abonenci powstawać raczyli, a na to się nie zanosi. Książek wyszło takie mnóstwo, że się muszę ograniczyć tylko na niektórych, boby trzeba rodzaj katalogu spisać. Jak zawsze tak i teraz przoduje księgarnia pp. Gubrynowicza i Schmidta. W ich *Bibliotece polskiej* wyszedł znanej wartości *Opis obyczajów i zwyczajów* ks. Kitowicza. W *Bibliotece* zaś podróży i powieści, wdzięczny utwór Z. Schwartzowej, tak cenionej szwedzkiej autorki, i Wł. Zielińskiego *August II* i *Aurora Koenigsmarck.* Nadzwyczaj zajmującym utworem jest *Życie snem (la vida es sueno)* dramat Kalderona dziejący się w Polsce, w przekładzie Szujskiego. Na szczególną jeszcze sasługują uwagę *Opowiadania historyczne* D ra Antoniego J. które właśnie drugiego doczekały się wydania i Bronisława Czermaka *Żywot Łukasza Górnickiego,* pierwszy raz gruntownie opracowany. Kto chce miłą chwilę przepędzić, niech weźmie z prawdziwie polskim humorem skreślone obrazki autora *Kłopotów Starego Komendanta,* noszące tytuł: *Medytacye kawalerskie* i *Przygody pana Kleofasa.* Matkom zalecamy wyborną książkę D-ra Wł. Seredyńskiego *Ogólne zasady wychowania* i Mieczysława Baranowskiego *Zarys hygieny i dyetetyki ciała i ducha.* Dziś, kiedy tak wielkie panuje rozprzężenie w pojęciach o wychowaniu, więcej jak kiedykolwiek należałoby, aby panie nasze zapoznały się z dziełami takiej treści. Znajdą tam one cenne wskazówki i dokładnie wyłożone zasady, jakie wychowaniem kierować powinny.

Inne jako zbyt specyalne pomijamy.

Wspomniałem już dawniej o powstałem u nas piśmie *Ojczyzna,* wydawanem przez żydów, dla obrony przeciw zniemczeniu Izraelitów, dla rozbudzenia w nich wyższych moralnych zasad, zbliżenia do innych wyznań, słowem dla ucywilizowania i uobywatelnienia (przepraszam za ten wyraz) tak licznej a szkodliwej dotąd ludności. Inicyatorowie i założyciele tego pisma nie zadowolnili się jego wpływem. Zawiązali więc kółko pod nazwą *Agudas Achim* (miłość bratnia). Towarzystwo to rozpatruje w tej chwili wszelkie inne środki działania, szczególniej na najbardziej zacofane i najciemniejsze masy żydowstwa. Znana wytrwałość i energia, którą się Izraelici szczycić mogą, wiele dokona, bowiem Towarzystwo Agudas Achim zdaje się zabierać do pracy w praktyczny sposób. Zamierza oto zakładać szkółki z polskim językiem wykładowym i powierzać je odpowiednim kierownikom. Wogóle działanie przeciw germanizacyjnym zapędom naszych wrogów dosyć raźno postępować zaczyna. Między innemi podnieść należy ważną uchwałę nowej *Izraelickiej Rady Wyznaniowej,* dotąd zupełnie niemieckiej, żeby językiem urzędowym, manipulacyjnym i obradowym był język polski. Istotnie na pierwszem posiedzeniu przemawiano tylko po polsku. Wyrugowanie niemczyzny z tak wpływowego ciała istotnie doniosłem jest zwycięztwem nad zwolennikami proroka Bismarcka.

Praca nad oświatą żydów i ich odniemczeniem może zrówna się wkrótce z działaniem Towarzystwa oświaty dla ludu. Te ostatnie powstają zwolna ale z większym rozmysłem niż dawniej. Niegdyś zakładano we Lwowie lub Krakowie towarzystwa, które miały działać na kraj cały. Lada omdlenie w centralnym komitecie sprowadzało upadek. Dziś tworzą się ciała na prowincyi, gdyby jedno zaginęło, inne powstaną i praca ogólna nie poniesie tak wielkiej szkody. Powstało dotąd 10 tow. oświaty, które obejmują ze 30 powiatów. Niewątpliwie i pozostałe powiaty przystąpią do zorganizowania takich stowarzyszeń, bo przykład jest zaraźliwy a i ludzi dobrej woli dość się znajdzie. Jak praktyka uczy czytelnie i wypożyczalnie rozwijają się nader szczęśliwie, a gdy *Macierz polska* i *Komitet do wydawania tanich dziełek ludowych* dostarczać będą książek, zamiłowanie do czytania rozszerzy się szybko. Krakowskie Towarzystwo Oświaty ludowej zobowiązało podobno swoich członków, żeby każdy z nich we wsi gdzie przebywa zgromadzał w każdą niedzielę wieśniaków i odczytywał im cały numer czasopisma, które będzie przez to Towarzystwo wydawane. Do lwowskich wypożyczalni ludność robocza garnie się z wielkim zapałem, musiano zdwoić ich liczbę a i czytelnie mają co wieczór dość znaczny zastęp chętnych gości.

Jeszcze jedno Towarzystwo zasługuje na słów kilka, jest niem *Koło literackie,* które niedawno ukończyło 3 lata swego istnienia. Na pierwszem posiedzeniu, które było walnem zgromadzeniem uchwalono przystąpić do pewnych zmian mających na celu dalszy rozwój *Koła.* Utworzeniem tego ciała dopięto pierwotnych zamiarów: zbliżono nieznających się literatów, oddzielono ziarno od lichej plewy, skupiono wszystko, co ma istną wartość i co przedstawia życie umysłowe we Lwowie Teraz idzie o działanie na zewnątrz, o rozbudzenie towarzyskiego życia, o wpływ na piśmiennictwo i tym podobne dalej sięgające cele. Na razie wniesiono projekta utworzenia czytelni, urządzenia sprawozdań z bieżącej literatury, wydawania literackiego pisma, rozpoczęcia szeregu

towarzyskich zebrań, oprócz zwykłych urzędowo literackich i t. p.

Jeżeli choć kilka z tych projektów wejdzie w życie, można się spodziewać, że Koło literackie coraz poważniejszą i wpływowszą rolę będzie odgrywać w naszem mieście gdzie średnia ludność niedość jeszcze się umysłowym ruchem zajmuje.

Przegląd Teatralny.

Pięćdziesięcioletni Jubileusz Aloizego Żółkowskiego.

Dzień 5 grudnia 1882 r. pamiętny będzie w dziejach warszawskiego teatru. W dniu tym obchodzono niezmiernie rzadką uroczystość: rocznicę pięćdziesięcioletniej pracy scenicznej artysty będącego chlubą naszej sceny, który od tyluż lat cieszy się nietylko uznaniem, lecz miłością nawet całej publiczności. To też i ona odświętnie wystąpiła, aby w dniu tak uroczystym oddać hołd niezrównanemu talentowi, uczcić tyloletnie zasługi szanownego Jubilata. Na kwadrans przed rozpoczęciem benefisowego widowiska, już wszystkie miejsca jakie tylko być mogły, zostały zajęte, a balowe stroje dam w lożach, fraki i białe krawaty mężczyzn w krzesłach, a bardziej jeszcze serdeczny gorący nastrój wszystkich przytomnych, uroczystość i znaczenie chwili do najwyższego stopnia podniosły.

Benefisant wybrał na swe przedstawienie: „Przyjaciele" i „Pan Geldhab" Fredry, oraz „Sztuka przypodobania się", występując w trzech różnych od siebie a tak mistrzowsko odtworzonych przez niego typach.

Widowisko rozpoczął „Marsz jubileuszowy" kompozycyi dyrektora orkiestry Kazimierza Hofmana, poczem nastąpił pierwszy akt „Przyjaciół", którego początkowe sceny, jakkolwiek przez celniejszych artystów naszych znakomicie grane, przeszły prawie niepostrzeżenie, gdyż cała uwaga publiczności zwróconą była do mającego się wnet ukazać Jubilata. Dopiero gdy niezrównany „Smakosz" wyszedł na scenę, gmach teatralny wtrząsł się od burzy oklasków, tak że wzruszony do łez artysta długo do słowa przyjść nie mógł. Po pewnej chwili zapanował nad swem wzruszeniem i genialny „Smakosz" mistrz komedyi polskiej, jeszcze nam się genialniejszym wydał w odtworzeniu przez mistrza polskiej sceny. Po „Geldhabie" młodzież uniwersytecka ofiarowała Jubilatowi wieniec wspaniały.

Po ukończeniu „Sztuki przypodobania się", jeszcze raz podniosła się kurtyna i odsłoniła scenę przystrojoną odpowiednio do uroczystości, przedstawiającą wśród drzew zieleni kolumnady greckiej świątyni. W jej wnętrzu Muza sztuki wspierała się na transparencie z cyfrą 50, otoczona popiersiami: Wojciecha Bogusławskiego, Fredry, Żółkowskiego (ojca), Kudlicza, Piaseckiego, Ledóchowskiej, Truskolaskiej i innych dawnych znakomitości naszej sceny. Girlandy z kwiatów podtrzymywane przez dzieci w bieli, łączyły z sobą tych dawnych reprezentantów artyzmu.

Na przodzie sceny ukazała się teraźniejszość, przedstawiona przez cały skład dramatu, komedyi, opery i baletu, osób przeszło 300.

Królikowski, najstarszy towarzysz pracy jubilata, który daj Boże, aby sam podobnej doczekał się uroczystości, w imieniu wszystkich kolegów, ujawszy Żółkowskiego za rękę, drżącym od wzruszenia głosem, w następujące przemówił słowa:

„Czcigodny Jubilacie! Pół wieku upłynęło od dnia w którym wstąpiłeś w progi przybytku sztuki dramatycznej.

„Od pierwszej zaraz chwili, urocza, wdzięcznym uśmiechem Talia, olśniona twoim talentem, oddała ci wszystkie swe skarby, odsłoniła ci wszystkie tajemnice sztuki, uczyniła cię swym wybrańcem, abyś w jej imieniu jaśniał na naszej scenie. Ty w zamian złożyłeś u stóp jej, nieograniczoną miłość i wierne do zgonu serce.

„Przez pół wieku snuły się po scenie naszej tłumy wspaniałych kreacyi twego natchnienia, a z ust twych płynęły czyste, miłe rodakom, dźwięki naszej pięknej mowy.

„Przez pół wieku dawałeś ich sercom chwile prawdziwej ulgi i rozkoszy — czarującym urokiem twego humoru osuszyłeś niejedną łzę smutku, niejeden cierń bólu wyrwałeś z piersi.

„Talent twój potężniejąc z dniem każdym, sięgał do wyżyn geniuszu i stał się twórcą niezrównanych rodzinnych postaci naszych, które złączone na zawsze z twojem imieniem, stanowią najwyższą chwałę, najwyższą zasługę twoją.

„Dziś po upływie lat pięćdziesięciu, niezwalczony ani pracą, ani wiekiem, stoisz wśród nas jak olbrzym, potężny wzór dla młodszej braci w sztuce, a chluba i zaszczyt naszej sceny. Dlatego dziś sztuka z rozpromienionem wdzięcznością obliczem, okala sędziwą skroń twoją wieńcem niespożytej sławy. Dlatego tłumnie zebrana publiczność, imieniem całego kraju, wznosi głos uwielbienia dla twego talentu, a historya teatru imię twoje złotemi zapisuje głoskami. Dlatego i my, pracownicy tej sceny, my jako najbliżsi świadkowie twej pracy, twoich tryumfów, zagrzani wspólną a gorącą chęcią uczczenia cię, zapragnęliśmy uwić dla ciebie najpiękniejszy, najtrwalszy wieniec, i oto utworzyliśmy skromne stypendyum dla synów lub córek biednych artystów, najbiedniejszych towarzyszy w naszym zawodzie.

„Niechaj ze sławą twego imienia łączy się i dobroczynność, niechaj najdalsze pokolenia biedaków, którym ta drobna pomoc ulży w niedoli i da możność czerpania światła, błogosławią wiecznie pamięci: Aloizego Żółkowskiego!"

Po tem przemówieniu, panna Marya Deryng, w otoczeniu pań Rakiewiczowej i Niewiarowskiej podała Jubilatowi wieniec laurowy; podobny wieniec ofiarował i balet warszawski, a chwilowo goszcząca u nas primadonna opery czeskiej, *slecna* Irma Reichówna, w milczeniu podała mu puhar złocisty w upominku od czesko-słowiańskiej czytelni w Warszawie. Roztkliwiony do łez jubilat nie mógł słowami wyrazić wszystkim uczuć swoich, tylko jednem słowem: „Bóg zapłać!" a młodziutką primadonnę bratniego narodu jak córkę uściskał, która ze zbytku wzruszenia zemdlała.

Tę świetną i tak żywo do serc wszystkich przemawiającą uroczystość, zakończyła kantata, umyślnie przez p. Münchhejmera skomponowana do słów p. M. Radziszewskiego, odśpiewana przez chóry i najlepsze siły opery naszej. Sola śpiewali pp. Cieślewski i Seidemann. Słowa te przytaczamy jako bardzo zręcznie do okoliczności zastosowane:

CHÓR.

Witaj, witaj dniu szczęśliwy,
Wiecznie bądź upamiętniony,
Dzisiaj zbiera mistrz sędziwy
Półwiekowej pracy plony.
W dowód bratniej serc oceny,
Wieńcząc czoło w liść wawrzynu,
Żyj nam chlubo polskiej sceny,
Chwały ojca godny synu!

SOLO.

Kiedy innych żądza sławy
Gnała gdzieś za oceany,
Tyś tu sercem do Warszawy
Przylgnął mistrzu ukochany!
Ztąd tyś u nas w takiej cenie,
Sam twój widok koi troski,
Boć to trzecie pokolenie,
Mówi z chlubą: *nasz Żółkowski!*

CHÓR.

Niechaj Bóg ci sił użycza,
W kraj zachwytu serca wiedź,
I jak gwiazda przewodnicza
Po nad polską sceną świeć!

SOLO.

Jak cię uczcić?... sposób łatwy:
W cześć pamięci mistrza w sztuce,
Niech wciąż jedno z naszej dziatwy
Ułatwienie ma w nauce.
Kształcąc umysł, młode plemię
Niech wspomina imię jego,
I niech kocha tak swą ziemię,
Jak Warszawa Żółkowskiego!

CHÓR.

Dla artystów zawsześ wzorem,
Werwy życia nie znać straty,
Dziś gra twoja lśni humorem,
Jak przed pięćdziesięciu laty.
Więc się nie daj zmódz starości,
Sztandar sztuki wznoś wytrwale,
Ulubieńcze publiczności,
Gry scenicznej ideale!...
Ten co talent — ów dar boski,
Na wyżyny zdołał wznieść,
Niechaj żyje *nasz Żółkowski!*
Cześć geniuszom!... hołd i cześć!

Zaiste nie żal pracować przez lat pięćdziesiąt, ażeby zasłużyć na tak gorące, tak ogólne uznanie, na tryumf tak świetny!

Po ukończeniu uroczystości, liczne tłumy z entuzyastycznemi okrzykami odprowadzały Jubilata aż do drzwi jego mieszkania.

Dowiadujemy się także, iż dość znaczna suma zebrana przez p. Rawicza na kosztowny dar od publiczności, została na prośbę czcigodnego Jubilata dołączona do summy stypendyalnej, przez artystów zebranej. Piękny ten czyn był godną dnia tego koroną.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Zarząd Warszaw. Szpitala dla dzieci, odzywa się za pośrednictwem pism do ofiarności ogółu, na rzecz biednych chorych dzieci leczonych w tymże szpitalu. Przedstawiwszy pożyteczność zakładu powstałego i utrzymywanego z ofiar dobroczynnych osób powiada, że dla szczupłości funduszów nie jest w możności dostarczania bie-

dnym chorym dzieciom choćby drobnych i maleńkich uciech jakie znajdują inne dziatki w domach rodzicielskich podczas Świąt Bożego Narodzenia, w tę uroczystość Zbawiciela, najpierwszego patrona dziatek.

Maleńcy chorzy w szpitalu, jako po większej części dzieci biednych rodziców, nie mają nadziei otrzymania od nich podarków lub zabawek, a zarząd Szpitala nie mając na nie funduszu, zwraca się z prośbą tak do zamożniejszych rodziców jak i do dziatek szczęśliwszych od godnych współczucia chorych, aby zechcieli przyjść mu w pomoc przez zaofiarowanie rozmaitych przedmiotów, jak np. choćby używanej odzieży, bielizny, obuwia, a mianowicie cieplejszego ubrania tak niezbędnego obecnie dla wychodzących ze szpitala. Dalej uprasza Zarząd o stare zabawki dla swoich małych chorych, dla których stanowiłyby jedyną rozrywkę i dozwoliły zapomnieć choć na chwilkę o bolesnych cierpieniach.

Wszelkie ofiary składać lub nadsyłać należy, pod adresem starszej Siostry Miłosierdzia szpitala dla dzieci, przy ulicy Aleksandrya, N. 23.

*** Pan Zygmunt Gloger podaje w „Kronice Rodzinnej" ciekawe szczegóły o uroczystem od wielu wieków obchodzeniu adwentu w całym kraju naszym. Wiadomo wszystkim że nazwa odprawianej w tym czasie Mszy św. „Roraty" pochodzi od pierwszych słów pieśni „*Rorate coeli*" a siedm świec gorejących na ołtarzu, przedstawia świecznik siedmioramienny jaki gorzał przed zasłoną Przybytku w świątyni Jerozolimskiej — ale nie każdemo znane są objaśnienia podane przez p. Glogera.

„Jak daleko sięgały granice Rzeczypospolitej polskiej, mówi, tak daleko po dziśdzień jeszcze odprawiają się roraty. W północnych Węgrzech i na Spiżu aż po Koszyce, roraty pozostały pomnikiem panowania polskiego. U nas znane już były za Bosleslawa Wstydliwego, następnie wznowiono je za Przemysława. Król najpierwszy przystępował do ołtarza z zapaloną świecą w ręku, i osadzał ją na najwyższym świeczniku, mówiąc: „Gotów jestem na sąd Boży." Drugą świecę obok powyższej stawiał pierwszy biskup, trzecią jeden z senatorów, czwartą obywatel rolnik, piątą rycerz, szóstą mieszczanin, siodmą kmieć—a każdy powtarzał powiedziane przez króla wyrazy.

Ponieważ Kościół przypomina w Adwencie zapowiedziane powtórne przyjście Chrystusa, a w Piśmie św. stoi. „Canite tuba Sion", przeto na znak pobudki którą da światu archanioł w chwili nadejścia Sądu, powstał w kraju naszym zwyczaj grania wieczorami na dworze na tak zwanej ligawce, przez czas trwania adwentu.

*** W drugiej połowie z. m. podziwiano wspaniałe zjawisko w okolicach południowego Tyrolu. Jednocześnie z przepyszną zorzą północną pojawił się „deszcz" meteorytów. Krwawy blask zorzy był tak jaskrawy, że wszystkie śniegiem pokryte wierzchołki gór żarzyły się po jednej stronie jak rozżarzone węgle, gdy jednocześnie po drugiej księżyc oblewał je swem łagodnem, na pozór zielonawem światłem. W nurtach Adygi, wśród gór płynącej, obadwa te światła się łączyły, a połączenie to cudowny przedstawiało widok. Tegoż dnia, 17 z. m., obserwowano zorzę północną nietylko w wielu okolicach Austryi i Niemiec, ale także i w górnych Włoszech i południowej Francyi.

*** Pomiędzy Bradford i Alton w Ameryce, budują obecnie największy na świecie most kolejowy. Zarzucony będzie nad przepaścią mającą 305 stóp głębokości a długość mostu ma wynosić 2,250 stóp. Materyał żelazny potrzebny do tej budowy waży 44 miliony funtów, koszta obliczono na pół miliona dolarów. Najwyższe dotychczas mosty w Ameryce są: nad Niagarą 345 stóp wysokości; most wiszący cincinatski 135 stóp, most harlemski 116 stóp.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubrania wieczorowe.

Suknia z trenem. Przód sukni przysłonięty draperyą koronkową, jest z materyi faille, tren zaś i stanik są z pluszu tego co materya koloru. Wykrój stanika suto ogarnirowany koronką, jest z przodu kwadratowy a z tyłu przedłużony w ząb.

Suknia krótka. Spódnica o ile ją widać z pod tiuniki kaszmirowej crême, jest zagarnirowana szeroką koronką i ozdobiona aksamitnemi klinami, odmiennego koloru, zwężonemi ku górze. Stanik aksamitny bawetowy z bertą koronkową, wachlarz z piórami marabout i kwiatami.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa oraz dla prenumeratorów na pocztę — Prospekt wydawnictw Maurycego Orgelbranda w Warszawie.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 1 Декабря 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 50, r. 1882.

WALKI ŻYCIA.

PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

Jerzego Ohnet.

(Przekład z francuzkiego.)

(Dalszy ciąg.)

— Klaro!... uspokój się... błagam cię!.. wołał przerażony Oktawiusz.

— O! nie obawiaj się, wołała, teraz wszystko jest ocalone... Naprawię złe jakiego jestem przyczyną, zapewnię twoje szczęście!... Filip... oh! rzucę mu się do nóg... wszystko, wszystko będzie mi łatwem i miłem, byle dojść do celu... Dziś jeszcze bardzo niezręcznie wzięłam się do tego... ale nie byłam panią siebie... a! gdybyś wiedział jak go kocham!...

Nagle czoło jej sposępniało — przypomniała sobie księżnę. Zmarszczywszy brwi, zawołała głuchym głosem.

— O! nie chcę... nie chcę aby mi go wydarto teraz!... Musi powrócić mi swe serce — inaczej umrę!...

— Klaro! zawołał przerażony margrabia.

Twarz Klary rozjaśniała; jednym rzutem przechodząc ze smutku do radości, zawołała wesoło:

— Bądź spokojny, braciszku. Jutro moje imieniny; będziemy mieć gości... zbiorą się wszyscy nasi przyjaciele... Chcę być piękną aby mu się podobać... Zwyciężę, jestem tego pewna... On wróci do mnie ufny i kochający...

W tem nagle zbrakło jej siły wynikającej z natężenia nerwów, zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Oktawiusz jej nie pochwycił. Zaniósł ją na darniową ławeczkę. Gwałtowne łkania wydzierały się z jej piersi, osłabiona i znękana słowa przemówić nie mogła, słuchając tkliwych, pocieszających słów brata.

Gdy już odzyskała moc nad sobą, siedziała obok brata poważna i milcząca, zapatrzona w roztaczającą się cichą zieloną dolinę, przez którą przepływała rzeka Avesnes, wijąc się jak srebrzysta wstęga. Park dosięgał do stóp wzgórzy, a ostre wieżyce zamku strzelały wysoko po nad korony starych drzew. Z wysokich kominów kuźni gęsty dym pasami unosił się w powietrzu; na dzwonnicy małego kościołka błyszczał krzyż złocony, o który odbijały się ukośne promienie zachodzącego słońca.

Klara marzyła teraz o tem aby mogła żyć i umierać w tej spokojnej ustroni; w tem przypomniała sobie że dawniej, z tego samego miejsca, z gniewem i pogardą rozglądała się do koła... A teraz zakątek ten wydawał jej się rajem—tam przebywał Filip!

XVII.

W tym roku św. Klary wypadało w niedzielę, w przeddzień, to jest w sobotę, było św. Zuzanny. Filip który od czasu rozbicia swego szczęścia, stosował postępowanie swoje do konieczności swego położenia, uważał iż nie wypada mu unikać obchodu tej podwójnej uroczystości. Od czasu ożenienia nie urządził jeszcze większego przyjęcia. Choroba Klary trwała do końca zimy, a przychodzenie do zdrowia przeciągnęło się prawie do połowy wiosny, tak więc nawet najpodejrzliwsi musieli mieć go za wytłomaczonego, że dotąd nie otworzył domu.

Kilkakrotnie Klara zdradziła mimowolnie w obec obcych swe moralne rozdrażnienie; właściciel kuźnic postanowił zatem dać jawny dowód swej miłości dla żony, wyprawiając wielki bankiet w dzień jej imienin. Już od dziesięciu dni zaproszenia były rozesłane, gdy owa próba pojednania przedsięwzięta przez Klarę, zamiast zbliżyć ich z sobą pogorszyła jeszcze położenie, zamieniając chroniczny stan jego w bolesne rozdrażnienie.

Zniechęcony Filip, myślał już odwołać zaproszenia, ale było już za późno — uroczystość przypadała nazajutrz. Liczył więc na energię i siłę woli Klary, wiedząc że przez dumę potrafi nadać twarzy swojej wesoły i uśmiechnięty wyraz. I znękany, niezadowolniony i z siebie i z innych, właściciel kuźnic postanowił także kazać milczeć sercu, i swobodnie, z pogodą na czole pełnić obowiązki pana domu.

Klara już od rana, zamknąwszy się z baronową w swoim pokoju, gotowała się do walki—chciała się podobać! Wstała późno chcąc wypocząć, aby oczy i cera nie zdradzały miotającego nią niepokoju. Pierwszy raz w życiu tak troszczyła się o swą piękność, jak dama półświatka pragnąca podbić Nababa; to też nie pomijała nic co tylko mogło podnieść i wykazać jej niezrównaną urodę.

Postanowiła ubrać się w białą suknię, przybraną koronkami i świeżemi różami. Stanik w pół wycięty, objęty był przy wykroju girlandą róż, która sięgając do dołu spódnicy, zdawała się owijać ją całą swemi woniejącemi zwojami. Wiotka, jakby utoczona jej kibić, doskonale się uwydatniała. Alabastrowa białość cery i gorsu jaśniała różowawym, jakby od róż pożyczanym odbłyskiem. W jasne włosy wpięła wiązankę róż mchowych. Taka śliczna była w tym stroju, że Zuzanna i Brygida które ją ubierały, nie mogły się jej dość napatrzeć, i zachwycone zaczęły klaskać w dłonie. Klara z pewnem zadowolnieniem spojrzała w źwierciadło, poczem drżąca zeszła do salonu.

W wielkim salonie w guście Ludwika XIV, Filip, w czarnym fraku i w białym krawacie, rozmawiał z baronem, który miał jeszcze na sobie codzienną żakietę, której odwinięte rękawy, odsłaniały pożółcone ręce. Spostrzegłszy to wchodząca z Klarą baronowa, rozpaczliwie załamała dłonie.

— Skądże przychodzisz, mój przyjacielu, w takim zaniedbanym stroju i o tej godzinie?... zawołała. Spojrz tylko na swoje ręce.

— A! daruj, moja droga, odrzekł baron, czerwieniąc się jak winowajca złapany na gorącym uczynku,—zasiedziałem się w laboratoryum. Przez nieuwagę przewróciłem flaszeczkę z jodyną, i trochę pomaczałem sobie nią palce.

— Trochę! zawołała baronowa, ależ to zgroza, jakże będziesz mógł pokazać się ludziom... Wyglądasz jak fotografista.

Baron roześmiał się głośno.

— Zapewniam cię że to zejdzie z łatwością.

I postąpił ku żonie parę kroków:

— Nie zbliżaj się do mnie! zawołała przestraszona, cofając się prędko; mam na sobie nową suknię. Idź się ubierać—już wielki czas.

Szczęśliwy że się wykręcił tak małym kosztem, baron prędko wybiegł z salonu.

Filip patrzył się na Klarę, zbliżającą się ku niemu w całym blasku swej piękności. Twarz jej była rozpromieniona, ani śladu znękania i smutku. W duchu, podziwiał moc duszy młodej kobiety; nie mógł nie uznać jej męztwa i był jej wdzięcznym że tak odważnie spełnia swój obowiązek. Z uśmiechem, na którego widok Klara pobladła z radości, Filip zbliżył się do niej trzymając w ręku aksamitne pudełko, na którem błyszczał monogram: K. D.

— Trochę za mało masz klejnotów, rzekł: żeniąc się nie miałem sposobności ofiarować ci takich jakich pragnąłem, pozwól mi teraz tego dopełnić.

I podawał jej pudełko. Klara zmięszana, wahała się nieco. Uprzedziła ją baronowa, prędko porywając pudełko z rąk Filipa. Otworzywszy je zaraz, wyjęła przepyszną brylantową riwierę, i z okrzykiem radości wpatrywała się w ogień błyszczących od światła kamieni.

— Ach! patrz tylko, Klaro, ależ to monarszy podarunek!

Posępna chmurka osiadła na czole Klary. Tak, był to rzeczywiście królewski podarunek. Przypomniała sobie zaraz owe pięćdziesiąt tysięcy franków, które Filip dał jej jako mniemany procent od jej nie istniejącego posagu, i doliczając do niej wielką summę jaką zapłacił za tak kosztowny naszyjnik, w głębi duszy uczuła się nadzwyczaj upokorzoną. Jakąż to nauczkę szlachetnej hojności dawał jej Filip! z jakąż królewską obojętnością wydawał pieniądze, wytrwałą i niezmordowaną pozyskane pracą, i jak małą widać przywiązywał cenę do tego co rzuciła mu wówczas w oczy, jako nieprzeparty argument.

— No, teraz jeszcze, Filipie, załóż jej sam na szyję to godło niewoli, rzekła ze złośliwym uśmiechem baronowa — a zwracając się do męża który wchodził do salonu ubrany bez najmniejszego zarzutu, dodała żartobliwie:

— Patrz, mój drogi, ty co zawsze i wszędzie szukasz kamyków, czy nie mógłbyś wyszukać gdzieś podobnych do tych?

Właściciel kuźni drżącą ręką włożył na szyję żony maszyjnik lśniący ogniem drogocennych klejnotów, i widział iż gdy palce jego dotknęły jej śnieżnych ramion, dreszcz ją przebiegł, rumieniec wystąpił na policzki.

— Nie tak, nie tak, zawołała baronowa, w dzień tak uroczysty nawet w obec świadków trzeba się pocałować.

I popchnęła Klarę w objęcia męża. Śmiertelna bladość pokryła twarz Filipa. Dotknął ustami czoła żony; gwałtowne wzruszenie zatamowało mu oddech w piersi, w oczach mu się zaćmiło, czuł się blizkim zemdlenia. Odsunął się prędko i wybiegł do drugiego pokoju, aby ochłonąć z wrażenia jakie wzbudziło w nim to przelotne zbliżenie.

Klara nie znała dotąd w zupełności ważnego stanowiska jakie mąż jej zajmował. Widziała że gdziekolwiek się zwrócił przyjmowano go z uprzedzającą grzecznością, ale obecnie dopiero, widząc że na

zaproszenie jego zjechały się najpierwsze w okolicy znakomitości, zrozumiała jak wysoko był poważanym, jak wielkie miał wpływy.

Na obiad przybyli: pan Monicaud, prefekt, niby republikanin, ale zmieniający swe zasady odnośnie do potrzeb chwili; jeneralny prokurator, człowiek przesadnie poważny; jeneralny kontroler, dawny hulaka, bardzo miły w towarzystwie; jenerał dowódzca dywizyi, oraz przedstawiciele wszelkich władz cywilnych i wojskowych. Nawet arcybiskup Bezansoński, który nie bywał u nikogo, w tym razie wyjątkowo przyjął zaproszenie Filipa, chcąc okazać mu swą wdzięczność za ofiarowaną przepyszną kratę żelazną, do chóru kościoła katedralnego. Szanowny starzec zasiadł obok Klary na najpierwszem miejscu, znosząc z uśmiechem obecnośc pana prefekta, nieubłaganego wykonawcy dekretów.

Atenais nie posiadała się ze złości patrząc na tryumf swej rywalki. Klara podniecona przyjaznemi spojrzeniami męża, z niezrównanym wdziękiem spełniała obowiązki pani domu—dowcipnie i uprzejmie rozmawiała z gośćmi, mówiąc każdemu coś pochlebiającego jego miłości własnej. Po raz pierwszy Filip okazał jej jawnie swoje zadowolnienie—ufność wstąpiła w jej serce, a swobodniejsza rozwinęła skarby swego wyższego umysłu i ukształcenia.

Prześliczną była dnia tego, niezwykłym opromieniona blaskiem — uderzyło to księcia de Bligny i wpatrywał się w nią z nieukrywanem uwielbieniem. Oczarowany urokiem Klary, zapomniał o wszystkiem, i zapatrzony w nią nie widział jak bacznie i groźnie Filip nie spuszczał z niego oczu. A zresztą cóż go tam mąż obchodził! Kto go tylko znał, wiedział dobrze iż w takich razach wydarłszy honor, gotów był jeszcze wydrzéć życie.

Pomimo że Moulinet zajmował się wyłącznie pozyskaniem sobie prefekta i ujęcia go w swe sieci, spostrzegł jednak tak niestosowne zachowanie się księcia. Dawniej już zauważył, że od czasu przybycia w te strony, Filip za nadto zajmował się Klarą, ale w ogóle nie przywięzywał wielkiej wagi do bałamuctw pana zięcia — w tym jednak razie żywy ogarnął go niepokój. Wiedział że w tej okolicy właściciel kuźnic był potęgą której nie należało zrażać sobie, i to właśnie prawie w przeddzień wyborów. To też postanowił rozmówić się i ostro upomniéć księcia.

Atenais siedząc przy Filipie starała się zająć go rozmową i zalotnością—ale odpowiadał jej obojętnie i z roztargnieniem. Po prawej stronie Filipa, siedziała margrabina de Beaulieu, chłodząc się wachlarzem i zasłaniając oczy przed rażącym ją blaskiem światła. Zmuszony zwracać się to na prawo to na lewo, a nadto i innymi zajmować się gośćmi, Filip męczył się i cierpiał niewymownie widząc jak czelnie książę wpatruje się w Klarę. Zdawało mu się że wzrok tego człowieka przesuwający się po obnażonych ramionach młodej kobiety, kalał je urojonemi pieszczotami. Straszny gniew go ogarnął; w tej jednej chwili przeszedł wszelkie męczarnie zazdrości. I myślał sobie jak wielką sprawiłoby mu radość zabicie tego człowieka, który tyle już wyrządziwszy mu złego, teraz jeszcze na tak straszne skazywał go męki.

Męczyła go niewymownie czcza paplanina Atenais, pragnącej widocznie aby zdawało się wszystkim iż nią tylko jest zajęty; zapragnął gorąco aby mógł raz uwolnić się od tych dwóch nienawistnych istot. I przypomniał sobie prośbę żony aby ją uwolnił od księcia i od księżnej — zrozumiał teraz udręczenie Klary, wystawionej na pastwę nienawiści żony i zalotów męża. Postanowił nieodwołalnie spełnić jej życzenie — ale wydalenie księcia już mu nie wystarczało—za nadto go nienawidził.

Nareszcie obiad się skończył — odetchnął swobodniej. Na tarasie panował chłód rozkoszny—śliczna niespodzianka oczekiwała tam Klarę. Cały park przepysznie był oświetlony, a fasada pałacu przybrana w girlandy i wieńce kwiatów.

Z powodu tej uroczystości, Moulinet strasznie opustoszył swą cieplarnię; przesłał ogromny kosz napełniony najrzadszemi kwiatami.

— Ogrodnik mój darł się za głowę, gdym mu rozkazał wysłać to wszystko z la Varenne, odrzekł napuszenie wszystkim wychwalającym tak rzadki jego zbiór egzotycznych roślin — ale nie zważałem na to.

Były sędzia trybunału nie spuszczał z oczu zięcia i widział dobrze jak manewrował zręcznie aby nieznacznie odosobnić Klarę od gromadki otaczających ją pań, i korzystając następnie z odosobnienia, przypuścić szturm do niej.

I wtedy dwie te tak kiedyś kochające się istoty, z uśmiechem zaczęły prowadzić z sobą nader niebezpieczną rozmowę. Książę namiętny, podniecony, gorąco pragnący pozyskać względy młodej kobiety, prawił grzeczności, unosił się nad jej pięknością, przysięgał że jak kochał tak zawsze kocha ją szalenie; Klara gwałtowna, uniesiona gniewem, pragnąca co prędzej wyzwolić się z tego strachem przejmującego ją sam na sam, mówiła coraz głośniej, bez względu że może to zwrócić uwagę Filipa.

Książę w jednej chwili zmienił taktykę; stał się łagodny i słodziutki, mówił już jedynie o przyjaźni, błagał Klary aby mu tylko podała rękę na znak przebaczenia—lecz gdy mówił te słowa, błyszczące jego oczy palące namiętnością, zaprzeczały im wzupełności. Zwolna, stopniowo zbliżał się do niej, aż ośmielony półświatłem, przysunął się tak blizko, iż Klara zawołała głośno:

— Proszę, odejdź książę, albo zawołam męża!

Książę rozgniewał ją do najwyższego stopnia—w uniesieniu zapomniała że podniesiony głos jej może wywołać zajście. Moulinet ocalił położenie. Zbliżył się z uśmiechem aby we troje prowadzić rozmowę, zaczynając ją w zwykły sobie oklepany sposób, co zawsze niepomiernie gniewało księcia.

— Co za prześliczne niebo! zawołał patetycznie; księżyc jest w pierwszej kwadrze, cały tydzień będzie pogoda!

Książę spojrzał krzywo na Moulinet'a, a Klara korzystając z tego, oddaliła się prędko. Bligny postąpił krok chcąc biedz za nią; teść powstrzymał go uroczystym ruchem, i biorąc pod rękę poprowadził nad brzeg wody.

— Mój panie księciu, rzekł, widzę ze smutkiem że nie szanujesz dobrych stosunków jakie wszelkiemi sposobami pragnę ustalić i utrzymać z panem Derblay, aby...

— Aby?... powtórzył książę, mierząc teścia impertynencko wzrokiem od stóp do głowy.

— Najpierw, zawołał były sędzia trybunału, po raz pierwszy w życiu tracąc cierpliwość, proszę cię bardzo *mój zięciu*, i położył szczególniejszy nacisk na tę nazwę tak nieznośną księciu, zechciej zaprzestać mówić do mnie tak przedrwiwająco, gdyż nie myślę znosić tego dłużej...

— Pan Moulinet się buntuje, podnosi sztandar buntu? przerwał książę szydząc.

— Pan Moulinet uważa postępowanie pana za nader nieprzyzwoite, odrzekł podnosząc głos, tak względem mnie jak względem pana Derblay, zalecając się tak bezczelnie do jego żony.

— Czyżby księżna pani raczyła uczynić mi ten zaszczyt i skarżyć się na mnie? zapytał de Bligny z przesadzoną grzecznością, więcej jeszcze ubliżającą od uprzednich drwinek.

— Co to, to nie, odrzekł Moulinet, i, co prawda, zdaje mi się że wierność twoja nie wiele ją obchodzi... i bardzo to pojmuję.

— Więc tedy?... zapytał drwiąco.

Moulinet odstąpił parę kroków, i zawołał z góry spoglądając na zięcia:

— A moralność, mój panie!

— Aha! moralność z ulicy des Lombards! odrzekł książę z lekceważeniem.

Moulinet przybrał imponującą minę.

— Ulica des Lombards ma swoją wartość, wycedził zwolna, doświadczyłeś pan tego.

— Oh! zawołał książę, nie podzwaniaj tak swoim workiem, panie Moulinet—i bez tego wiadomo żeś bardzo bogaty. I mierząc pogardliwie wzrokiem byłego sędziego trybunału, dodał: Ale jedyna to twoja zasługa — więc też jej nie nadużywaj!

— W takim razie zasługa moja ma tę korzyść nad twoją, mości książę, że zwiększa się nieustannie, odrzekł Moulinet—a zresztą, doprawdy zbytek to dobroci z mej strony że chcę zajmować się tobą... Idźże sobie dalej tą występną drogą, trwaj w swojem występnem przedsięwzięciu — którego jedynem następstwem będzie zajście z jej mężem, a w takim razie uprzedzam pana że współczucie i życzenia moje panu Darblay towarzyszyć będą.

— Wybornie! odrzekł książę.

— Jeżli pana zabije, mówił dalej Moulinet coraz żywiej podniecony, spotka cię tylko to na co zasłużysz.

— Aha! sąd Boży!

— Wtedy córka moja i ja wyprawimy ci pogrzeb odpowiedni naszemu majątkowi, poczem pojedziemy opłakiwać cię w Monako lub w kąpielach morskich, dopokąd nie upłynie czas koniecznej żałoby.

— No, więc będzie to wesoła żałoba! szydził książę.

— Popychany rozkiełznanemi swemi namiętnościami...

— A! dość tego, panie Moulinet, krzyknął wyniośle książę, nie proszę o rady, nauk nie przyjmuję! Przez kilka minut bawił mnie śmieszny pański pedantyzm — ale powtarzam, dość tego!

— Dobrze, mój panie, odrzekł Moulinet, onieśmielony zuchwalstwem księcia, rób sobie co chcesz—j a umywam ręce.

I z godnością poruszając głową, Moulinet zwrócił się ku pałacowi.

Wielki ruch panował na tarasie. Zuzanna przybiegła prędko do brata, rozmawiającego z prefektem i prokuratorem jeneralnym, i wzruszona zawołała:

— Przyszła deputacya robotników, jest ich dziesięciu, proszą o pozwolenie wejścia.

— Deputacya robotników! zawołał prefekt demokrata; mała demonstracya ludowa... wybornie!

— Gotów wołać żeby zagrano *Marsyliankę*, szepnął do sąsiada kontroler jeneralny.

Filip podszedł ku robotnikom.

— A! to wy, Gobercie! rzekł poznając najdawniejszego swego nadzorcę robotników, który przybrany w świąteczne szaty, z kapeluszem w ręku, trzymał w ręku ogromny bukiet, oglądając się nieśmiało.

— Chodźże, chodź, mój poczciwcze, i wy wszyscy także.

Gobert, wysoki siwowłosy starzec, stał zmięszany obecnością wykwintnego towarzystwa, które wyległszy na taras, przyglądało mu się ciekawie.

— No, idźże, szeptali stojący za nim koledzy, idź już, skoro ty masz za nas mówić.

Ale Gobert owładnięty nieprzepartem wzruszeniem, stał z szeroko otwartemi oczami, nieruchomy, jakby w kamień zamieniony.

Zuzanna przyszła mu w pomoc; zbliżywszy się wzięła go za rękę i poprowadziła do Klary. Znała od dziecka poczciwego starca. Stanąwszy przed Klarą, Gobert skłonił się nizko, i zmięszany starał się przypomnieć sobie oracyą jakiej się nauczył na pamięć.

— Pani Derblay, rzekł nakoniec, skoro pan nasz zezwala, racz przyjąć ten bukiet który ofiaruję ci w imieniu nas wszystkich, wraz z życzeniami wszelkich pomyślności... Trzeba żebyś pani wiedziała o tem, iż jest nas tu w Pont-Avesnes tysiąc ośmset a wszystko co posiadamy zawdzięczamy mężowi pani. On nam pobudował domy, szkołę, szpital, i obchodzi się z nami jak ojciec z dziećmi... To też całem sercem wdzięczni pani jesteśmy, za szczęście jakiem go darzysz.

Silne wzruszenie zaparło mu głos — nie mógł przemówić więcej. Odezwały się głośne okrzyki i oklaski — hasło do nich dał prefekt, poczem zwrócił się do państwa Derblay z uśmiechem uznania. Usłyszawszy co Gobert powiedział o szczęściu jakiem obdarza męża, Klara zadrżała. Tak więc zawsze i wszędzie oddawano jej tę, jakby szyderską pochwałę.

Tłok i gwar uspokoił się nieco; Gobert oddawszy bukiet stał zakłopotany przed panem i panią Derblay. Nareszcie rzekł po chwili:

— Ale nie wszystko jeszcze powiedziałem... Nadchodzą nowe wybory; niebawem kraj wezwany zostanie do wybrania deputowanego...

Usłyszawszy to, Moulinet postąpił krok naprzód, jakby wprost odnosiło się do niego, a prefekt wyprostował się, powiódłszy do koła urzędowym wzrokiem.

— Przychodzimy więc prosić pana Derblay, aby nam pozwolił stawić jego kandydaturę z okręgu Pont-Avesnes.

Uspokojony, Moulinet odetchnął całą piersią.

— Brawo! zawołał, okręg Pont-Avesnes graniczy z moim, brawo!

Ostatnie słowa starego nadzorcy, zagłuszyła burza wiwatów i radośnych okrzyków dochodzących z po za dziedzińca. Ubrani świątecznie, robotnicy kuźni przybyli z żonami i z dziećmi, przypatrywać się obmyślonej przez nich manifestacyi.

— Otworzyć kratę! zawołał Filip; niech wszyscy wejdą!

I w jednej chwili uradowany tłum rozbiegł się po parku, oświeconym weneckiemi latarniami, roztaczającemi różnobarwne światło po cienistych alejach i tajemniczych grotach i gajach, ozdobionych pięknemi posągami.

— Poczciwi ci pracownicy, wyborną powzięli myśl, rzekł nader uprzejmie prefekt; pan Derblay należy do naszego obozu — jest liberalnym w najszlachetniejszem słowa tego znaczeniu. Nazwisko jego jest dla wszystkich jakby synominem: wiedzy, prawości, wolności i pracy!

— To mi kandydatura, której przyklaskuję całem sercem! zawołał Moulinet. We dwóch owładniemy cały powiat. Biorę na siebie moich fermierów, sam zajmę się zwołaniem komitetów i zgromadzeń, na których głos zabiorę. Bez trudu odniesiem zwycięztwo na wyborach.

— No, no! kochany prefekcie, zdaje się stawiamy urzędowe kandydatury! odezwał mu się za uchem głos jakiś. Prefekt odwrócił się prędko, jak gdyby mu ktoś nastąpił na nogę, i znalazł się oko w oko z jenerałem, wpatrującym się w niego z drwiącym wyrazem. Przedstawiciel administracyi cywilnej, odpowiedział z uśmiechem przedstawicielowi władzy wojskowej:

— Cóż chcesz, kochany jenerale; zjadłszy u kogoś tak doskonały obiad, nie można przecie występować przeciw niemu przy wetach — prosta grzeczność nakazana przez trawienie.

I wykręciwszy się na pięcie, mruknął sobie pod nosem: Idź do licha, pretoryanie!

— Kochani przyjaciele, rzekł Filip do robotników, przyjmuję chętnie zaszczyt jaki mi czynicie; nie przez dumę—wiecie że nigdy nie szukam sposobności wysuwania się na przód — ale że spodziewam się skorzystać z tej sposobności dla waszego dobra.

I znowu rozległy się szalone okrzyki i wiwaty; przez parę minut widać tylko było ręce podniesione w górę, machające czapkami i kapeluszami. Nareszcie wrzawa ucichła powoli, wtedy Klara odezwała się do Goberta;

— Ja także dziękuję wam serdecznie, kochani przyjaciele, za ten wasz poczciwy pomysł, i proszę cię, Gobercie, ty jako najdawniejszy z pracowników kuźni, pójdź pocałuj mnie za wszystkich.

I uśmiechnięta, z niewypowiedzianym wdziękiem pochyliła twarz ku staremu nadzorcy, który zaczerwienił się zmięszany. Przysunął się zwolna, i dotknął ustami pięknej twarzyczki Klary, tak lekko i delikatnie, jak gdyby była tak palącą jak rozpalone żelazo, z jakiem siwowłosy pracownik od lat tylu miał do czynienia.

— Och! łaskawa pani, zawołał poczciwy pracownik ze łzami w oczach, Derblay'owie byli zawsze dobrzy i zacni, i pani godną jesteś nosić ich nazwisko.

Klara orzuciła męża tryumfującem spojrzeniem; zdawało jej się że te słowa sędziwego pracownika ściesniały węzły łączące ją z Filipem.

Atenais szydziła z całej tej, jak mówiła, teatralnej sceny, i rzekła przedrwiwając do panów La Brede i Du Tremblays:

— A! jakież to czułe — po szyję zatonęliśmy w socyalizmie!

Słowa jej zagłuszył przeciągły okrzyk radości— Filip wydał rozkaz aby wytoczono kilka beczułek wina i sprowadzono miejscową muzykę. W jednej chwili urządzono dla niej z desek estradę—i ozwały się wesołe dźwięki ludowej muzyki. Odgłos jej przynęcił pracowników z okolicznych winnic, którzy przyjęli udział w tańcu robotników i stało się to pierwszym krokiem do pojednania długo nieprzyjaznych sobie obozów. Przy świetle rozwieszonych po alejach różnokolorowych latarni, które wydawały się na ciemnej drzew zieleni jakby jakie fantastyczne kwiaty, czerniał jak mrowisko rozochocony tłum gwarnie się poruszający.

W tem nagle jakby świetna błyskawica przesunęła się w powietrzu, rozległ się huk sztucznych ogni przygotowanych w sekrecie przez barona, spuszczając jakby deszcz lśniących gwiazd po nad głowy zdumionego tłumu. Następnie race jak ogniste smugi zarysowały w powietrzu, a gaje i zacienione ustronia parku, zajaśniały zielonemi i czerwonemi ogniami bengalskiemi.

Muzykanci przestali grać, i oparłszy instrumenta na kolanach, przyglądali się z zachwyceniem fantastycznemu lotowi i zadziwiającemu blaskowi rzymskich świec.

Zwracając się do Moulinet'a, prefekt zawołał z zapałem:

— Patrz pan, jak cudnie czerwony kolor odbija w sztucznych ogniach!... Prześliczna to barwa!

— Ja lubię także i zielony, odrzekł były sędzia trybunału handlowego, nie zrozumiawszy przystosowania.

— I słusznie, wszak to kolor nadziei, rzekł uprzejmie kontroler, kłaniając się Moulinet'owi.

Tym razem dorobkiewicz zrozumiał: ilekroć szło o jego interes, stawał się bardzo domyślnym. Popatrzył dorotliwie na dawnego hulakę, uznając go za człowieka najlepszego towarzystwa, który nadto i tę miał zasługę, iż posiadał parę koni najpiękniejszych w całym departamencie.

— No! cóż, panie Moulinet, rzekł przysuwając się do niego baron, wszystko dobrze idzie — wydajesz mi się pan zachwycony...

— O! tak, baronie, odrzekł z zaufaniem były sędzia trybunału handlowego; zachwyca mnie ten przepych, ożywione zabawy, cały ten nastrój dzisiejszej uroczystości. Jestem stworzony do życia w wielkim świecie... gust i upodobania moje protestują przeciw niesprawiedliwości mego pochodzenia...

— A! już sam wyższy umysł pana każe zapomnieć o tem, — odrzekł baron z najpoważniejszą miną.

Niebo zajaśniało jasnem czerwonem światłem— puszczono najgłówniejszy fajerwerk. Pod gorejącym portykiem, różowemi płomieniami zarysowane dziecię, kładło wieniec na skroń wysokiej kobiety, oznaczonej białemi płomieniami.

— Miłość wieńcząca Przemysł! rzekł objaśniając baron.

— Znam to, znam! szepnął prefekt do ucha kontrollera jeneralnego. W zeszłym roku gdy byłem podprefektem w Newszatelu, wieczorem, w dzień uroczystości narodowej, *puszczono nam* toż samo różowe dziecię i białą kobietę, pod nazwą: Przyszłość wieńcząca Francyę!

— Ja znowu, odrzekł wesoło kontroller, widziałem już kiedyś tę grupę w Ville-d'Avray, gdy puszczano sztuczne ognie podczas uroczystości wyprawionej na cześć sławnego doktora Thompson,— wteby fajerwerk ten nosił nazwę: Dziecię wieńczące Medycynę.

Przerwał ich rozmowę straszny huk i blask wzrok olśniewający; wzniósł się w powietrze olbrzymi bukiet a raczej snop olśniewający, roztaczając nad głowami widzów jakby ogniste sklepienie. Na stojących najbliżej, spadł grad poczerniałych laseczek, z towarzyszeniem krzyków i śmiechu — poczem obłoki pociemniały i zabłysło znów łagodne światło weneckich latarni. Jak gdyby na znak dany jakąś niewidzialną ręką, muzyka odezwała się nagle, pierwsze takty kontredansa słyszeć się dały,— i jednocześnie ktoś z tłumu zawołał:

— Dalej! do tańca.

Nagle Atenais przyszła szalona, wcale nie książęca ochota, przyjęcia udziału w tańcu robotników, a była tak nieprzepartą, iż zwróciła się do Filipa z ożywioną twarzą, z zaiskrzonym wzrokiem, i pochylając się ku niemu, zawołała:

— Och, panie Derblay, proszę rozpocznijmy ten bal wiejski... będzie to tak pięknie!... Chodź pan, dodała nagląco, będziem tańczyć z sobą!

Filip nie ruszył się z miejsca — wahał się między chęcią odmowy a obawą dopuszczenia się niegrzeczności. Zamienił spojrzenie z Klarą.

Widząc to nowe, jawne wyzywanie księżnej, Klara zbladła i uznała stosownem raz położyć temu koniec. Pierwej już postanowiła sobie nie dopuszczać nadal aby Atenais wydzierała jej męża, i powstrzymywała ją jedynie obawa niezadowolnienia Filipa. Stała więc niepewna i wahająca, gdy w tem znienawidzony głos szepnął jej:

— A co? czy nie mówiłem!

I ruchem głowy książę wskazał jej Atenais pochyloną ku Filipowi, obejmującą go palącem i pieszczotliwem zarazem spojrzeniem.

Klara drgnęła, miotana zarazem boleścią i wstydem—nierozważne wmięszanie się księcia, zwiększyło jej cierpienie. I w tej właśnie chwili, jak gdyby stanowiącej o ich przyszłości, oczy Klary i Filipa spotkały się z sobą. Klara tak wyraźnie wyczytała w oczach męża przymus i znużenie, iż uczuła się nieprzepartą jakąś popchnięta siłą. Postąpiła parę kroków, i dotykając lekko ramienia Atenais, powtarzającej znowu: No, chodźmy rozpocząć bal, rzekła zimno:

— Przepraszam że sprzeciwiam się twoim zamiarom, ale chciałabym pomówić z tobą.

— Pomówić ze mną! powtórzyła księżna z zadziwieniem i z niechęcią — i to tak zaraz koniecznie?

— Koniecznie zaraz! odrzekła z naciskiem Klara.

— Więc chodzi o rzecz tak ważną?

— Nader ważną.

Atenais wlepiła oczy w swą nieprzyjaciółkę; Klara wytrzymała to spojrzenie z tak niezachwianą pewnością siebie, że księżna zmięszała się, i przeczuwając coś ważnego, spuściła oczy mówiąc słodziutkim głosem:

— Cóż to takiego, moja śliczna Klaro? i chciała ująć jej rękę.

— Chodź to się dowiesz, odrzekła cierpko pani Derblay.

I nie mowiąc już ani słówka, nie patrząc na Filipa, ale ożywiona niezłomnem postanowieniem, z bijącem silnie sercem, zaprowadziła Atenais do małego pustego saloniku.

Tam chwilkę stały nieme, patrząc wzajemnie na siebie, jak dwóch zapaśników gotujących się do zaciętej walki. Z oddali dochodziły odgłosy zaimprowizowanej orkiestry i gwar rozochoconego tłumu. Wszyscy goście zeszli do parku—Klara i Atenais stały naprzeciw siebie, własnym pozostawione siłom.

— Usiądźmy, rzekła krótko pani Derblay.

— A więc to długo ma potrwać? zapytała księżna ziewając.

— Spodziewam się że nie, odrzekła Klara.

Atenais rozparła się w fotelu. Wyciągnęła nogi, wlepiła oczy w dżetową klamerkę zdobiącą jej bucik, poruszając nogą aby migotała odbijaniem promieni światła, jakby chcąc okazać przez to że nie przywięzywała żadnej wagi do tego co Klara miała jej powiedzieć.

— Wielką mam prośbę do ciebie, rzekła, pani Derblay.

— Czyż byłabym tak szczęśliwą abym mogła oddać ci jaką przysługę? zapytała niedbale.

— I wielką nawet. Czy pamiętasz jak podczas owego wielkiego polowania w lesie, zabierając z sobą męża mego, zapytałaś mnie czy nie gniewam się o to, i czy czasem nie jestem zazdrosną?

Księżna uderzyła lekko obcasem w posadzkę; mówiąc:

— Żartowałam!

— Otóż nie wiedząc o tem powiedziałaś prawdę.

Zdziwiona niewymownie, Atenais przestała rozpierać się w fotelu, i siedząc prosto miała się na baczności.

— Ty!... zazdrosną?... rzekła.

— Tak.

— I jeszcze o mnie? dodała z przyciskiem.

— Tak, o ciebie, odpowiedziała Klara, dodając po chwili z przymuszonym uśmiechem: Widzisz że jestem szczerą. Zdaje mi się że mąż mój więcej niżby należało zajmuje się tobą, i dla tego zwracam się wprost do ciebie abyś temu położyła koniec... Najniezawodniej dla ciebie jest to najzupełniej obojętne, a mnie wielką sprawia przykrość.

— A! pieszczotko moja, zawołała Atenais, zwracając się do Klary z jak najczulszem niby zajęciem, więc cierpiałaś i nic nie mówiłaś mi o tem... Ale czy tylko nie przesadzasz trochę? Doprawdy nie przypominam sobie nic coby mogło usprawiedliwiać twe zaniepokojenie. Pan Derblay jest bardzo miły i uprzejmy, zdaje się lubi rozmawiać ze mną, ale podobna sympatya między spokrewnionemi z sobą osobami nie jest ani zadziwiającą ani naganną.

— Ale mnie to dręczy! odparła Klara z przyciskiem.

Księżna powstała, i rzekła ostrym, dojmującym głosem:

— Ależ, moja miła, zwróć się z tem do twego męża, niech on radzi na twoje cierpienie, ja nie mam na nie lekarstwa.

— Przeciwnie, ty właśnie możesz łatwo temu zaradzić.

Atenais znowu rzuciła się na fotel — teraz wiedziała już do czego Klara zmierza — a więc żąda zawieszenia broni. Złagodziła więc głos jak tylko mogła i ze słodyczą stokroć dokuczliwszą niż dotychczasowa cierpkość odrzekła:

— A jakże mogłabym tego dokazać? zapytała. Mamże być niegrzeczną dla twego męża—najpierw nader to niemiłe zadanie, a powtóre czy sądzisz żeby się to na co zdało?

I mówiąc to uśmiechała się z zarozumiałością kobiety pewnej swej władzy.

— To też nie tego żądam od ciebie, odrzekła spokojnie Klara.

— Czegóż więc?

Pani Derblay zawahała się chwilkę, poczem rzekła śmiało:

— Abyś czas jakiś nie bywała u nas.

Atenais zerwała się, tracąc panowanie nad sobą.

— Jak możesz żądać czegoś podobnego! zawołała.

— Tak, żądam tego, proszę cię, odrzekła łagodnie — miej mnie za szaloną ale uczyń o co proszę... idzie tu o mój spokój i szczęście.

— I jakiż pozór nadałabym podobnemu postąpieniu? odparła Atenais. Cóżby powiedziano o tak nagłem oddaleniu się mojem, zakrawającem na zerwanie wszelkich stosunków.

— Postaramy się wytłomaczyć to przychylnie.

Naleganie Klary bardzo zakłopotało Atenais. Pomyślała teraz że pani Derblay zręczniejszą jest niż myślała, i przegrałaby stanowczo dając się pociągnąć do najlżejszego ustępstwa. Postanowiła od razu przeciąć ten węzeł.

— Mogłoby się to nie udać, odparła — a dla mnie byłoby to nader smutnem. Ty byłaś szczerą— i ja będę otwartą. Jestem nowicyuszką w tym wielkim świecie do którego wprowadził mnie książę do Bligny, i wszelkiemi siłami pragnę utrzymać w nim zdobyte stanowisko... a wiem jak on jest ścisłym i surowym. Pojmiesz więc sama iż gdyby się dowiedziano że rodzina męża trzyma się z dala odemnie, mogłoby mi to bardzo zaszkodzić... Ludzie tak mi zazdroszczą — a wtedy trzebaby pożegnać się z memi marzeniami! Ty troszczysz się o swoją miłość—ja o dumę moją. Pojmuję i nie dziwię się że ty troszczysz się o tę miłość—ty nie miej mi więc za złe że bronię mej dumy.

Klara drżeć zaczęła — zaledwie mogła teraz zapanować nad sobą. Brała ją chęć pochwycić i zgnieść nikczemną nieprzyjaciółkę.

— A więc odmawiasz? zapytała stłumionym głosem.

— Muszę, odrzekła. Postaw się sama na mojem miejscu.

Było to szyderstwo tak wyraźne, iż Atenais sama nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Klara postąpiła parę kroków, i nie starając się dłużej panować nad sobą, zawołała gwałtownie:

— Ja miałabym się stawiać na twojem miejscu, ale to ty stajesz na mojem i chcesz koniecznie utrzymać się na niem!... Od pierwszego poznania prześladujesz mnie swoją zazdrością i nienawiścią. Panną będąc, zabrałaś mi narzeczonego — mężatką chcesz odebrać mi męża... Jednego ustrzedz nie umiałam — drugiego wydrzeć ci potrafię!

— A! tak to! krzyknęła Atenais siniejąc z gniewu... Dobrze więc! walczmy z podniesioną przyłbicą... tem lepiej! męczy mnie to udawanie... O! tak, od pierwszej chwili poznania płacę ci nienawiścią, upokarzającą pogardę jaką ty i podobni tobie karmiliście mnie na każdym kroku... Przez lat dziesięć gnębiłaś mnie twojem nazwiskiem, majątkiem, rozumem... otóż widzisz — dziś mam miliony, jestem księżną a ty przychodzisz prosić mnie o łaskę!...

— Strzeż się! zawołała Klara—nie jestem z tych co pozwalają ubliżać sobie bezkarnie!

— A ja noszę nazwisko stawiające mnie wyżej niż gniew twój dosięgnąć może, odparła wyniośle Atenais.

— Od twego względem mnie postępowania, odwołam się...

— Do kogo? zapytała drwiąco.

— Do świata.

— Do którego? Czy do twojego do którego podnieść się umiałam?... czy do mojego do którego ty spadłaś?

— Mniejsza do którego, byle byli w nim ludzie uczciwi dla których poszanowanie innych jest obowiązkiem, a poszanowanie własnej godności prawem. Otóż w obec takiego powtórzę com ci powiedziała przed chwilą—czy słyszysz? przedstawię cię przed nim jaką jesteś w rzeczywistości... Zobaczemy wtedy czy nazwisko jakie obecnie nosisz, zdoła—pomimo swej znakomitości—pokryć twoją fałszywość i nikczemność.

Atenais chciała odpowiedzieć — wezbrana żółć stłumiła jej słowa — syczenie tylko jakieś z ust się wysunęło. Nie mogąc przemówić, chciała znieważyć ją spojrzeniem — ale ulękła się Klary która stała przed nią groźna, z pałącym wzrokiem, drżąca z oburzenia i gniewu. Cofnęła się więc i rzekła zniżając głos:

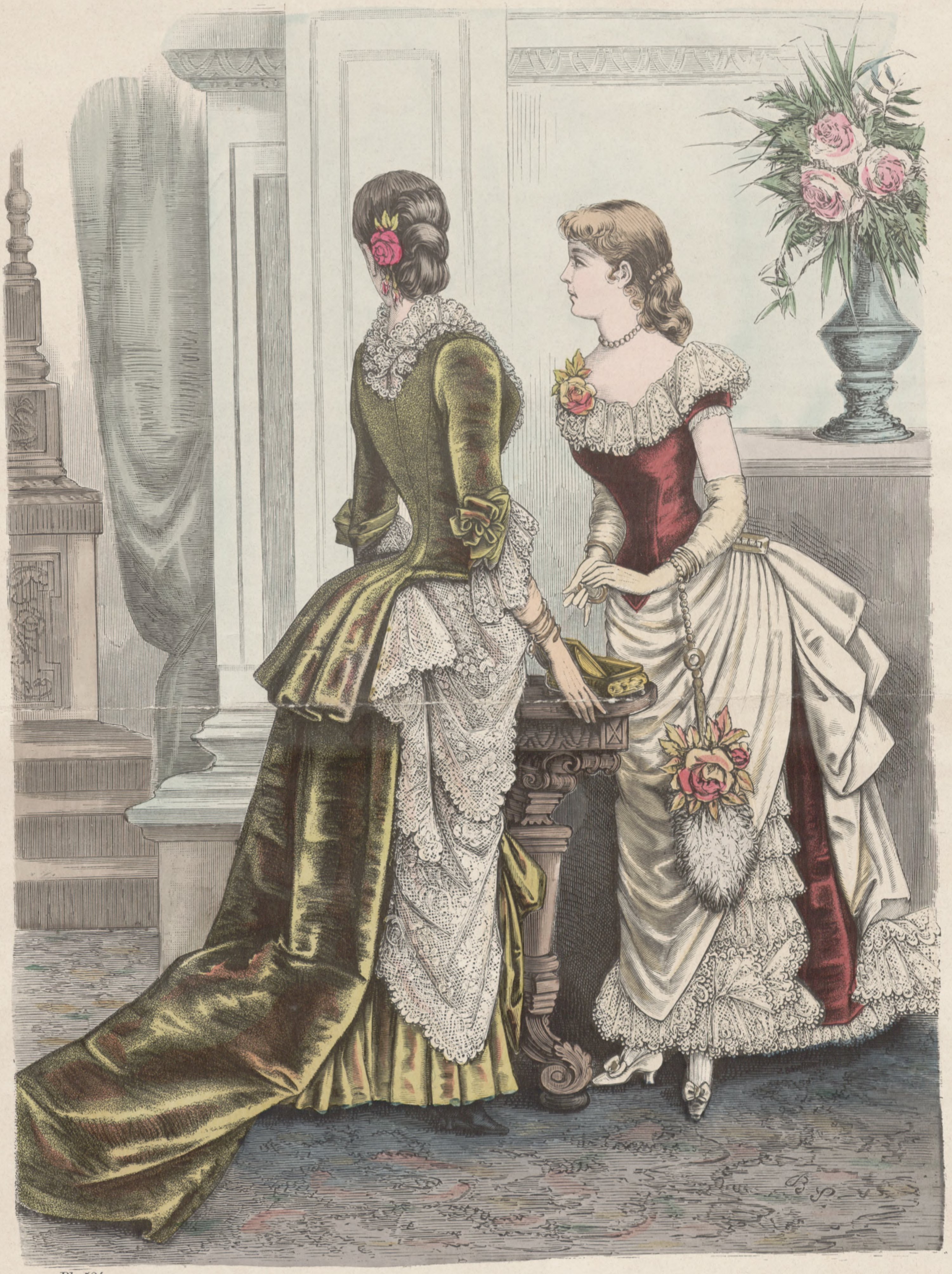
— Chcesz więc skandalu?

— Chcę wymierzyć zasłużoną karę. Raz ostatni pytam czy przystajesz na to co żądam?

— Nie! stokroć nie! krzyknęła Atenais zgrzytając zębami.

— Dobrze więc! zobaczemy!

(D. c. n.)



Pl. 524.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.